Redaguje: Komitet.
Adres redakcji: Kredytowa 2/4 P.Z.B.W.P.
Red. naczelny przyjmuje wtorki, czwartki, soboty od 11 — 13. Tel. 8-74-32.
Redakcja prosi wszystkich Czytelników o nadsyłanie wszelkich dokumentów i fotografii dotyczących więzień, obozów koncentracyjnych i miejsc straceń, oraz wspomnień i publikacji z okresu okupacji hitlerowskiej.
Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.

PZBWP

WOLNI LUDZIE

PISMO POLSKIEGO ZWIĄZKU B. WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

Cena numeru 15 zł
Ogłoszenia przyjmuje administracja codziennie w godz. 9—15.
CENY OGŁOSZEŃ:
Cała strona 120.000 zł., ½ strony 65.000 zł., ¼ strony 40.000 zł.
Poszukiwanie pracy, oraz poszukiwania zaginionych 5 zł. za słowo, minimum 20 słów.
Reklamowe 1 mm szerokości 1 szpalta 50 zł.
W tekście redakcyjnym 70 zł.
Tłustym drukiem 100% drożej.
Prenumerata: miesięcznie 30 zł, kwartalnie 80 zł, półrocznie 150 zł, rocznie 300 zł.
Należności za prenumeratę i ogłoszenia należy wpłacać na konto P.K.O. Warszawa I-5664 „Wolni Ludzie".

Rok I | Warszawa, poniedziałek 15 września 1947 r. | Numer 11

Historyczna reforma

Dwadzieścia milionów hektarów liczą grunty użytkowane rolniczo w Polsce. Jest to nasze realne, niezmienne, niezniszczalne bogactwo narodowe. Korzystamy z niego wszyscy dzięki pracy milionów chłopskich rąk. Jednak nigdy dotąd rozdział ziemi nie był w Polsce sprawiedliwy. Nieliczna warstwa uprzywilejowanych posiadała w swych rękach wielkie obszary, podczas gdy setki tysięcy gnieździły się, wegetując, na ciasnych zagonach.

6-go września 1944 roku dekret PKWN o reformie rolnej dokonał rewolucji w polskim utroju rolnym. Rewolucja ta dotknęła nielicznych, nie zniszczyła nikogo, setkom tysięcy przyniosła realną poprawę bytu. Wielkie masy bezrolnych i małorolnych chłopów, które od pokoleń własną pracą i potem związane były z ziemią, lecz nie miały do niej praw, weszły w jej posiadanie.

W dwa lata później, 6-go września 1946 roku dekret o ustroju rolnym na Ziemiach Odzyskanych utrwalił dokonane przemiany, wiążąc masy chłopskie z ziemią więzią najsilniejszą — legalnego posiadania.

Obydwa dekrety to fundamenty prawne jednej z największych zdobyczy nowej Polski.

Już 6 milionów hektarów z majątków obszarniczych i poniemieckich przeszło w ręce chłopskie. Jeszcze półtora miliona pozostaje do rozparcelowania. Z tego 1,300,000 ha czeka na Ziemiach Odzyskanych. Czeka na ręce tych, którzy dotychczas orali cudze zagony, a także i tych, którzy —poza granicami kraju—bałamuceni złą wolą wrogów nowej rzeczywistości, wciąż jeszcze wybrać nie mogą między pracą najemną dla obcych, a własnym warsztatem pracy, na swojej ziemi.

Na terenach dawnych na ogólną liczbę 390.000 nowych nabywców gospodarstw z parcelacji, już 355.000 otrzymało hipoteczne dokumenty legalnego posiadania. Około 100.000, w tym ponad 90,000 na Ziemiach Odzyskanych otrzyma je do końca roku. Wymowę tych cyfr trzeba dobrze zrozumieć. Owe bez mała pół miliona nowonabywców to wszak pół miliona rodzin chłopskich, które uzyskały dzięki reformie rolnej własne, samodzielne gospodarstwa. To wszak w przybliżeniu licząc około dwóch milionów ludzi związanych z ziemią nie dotychczasową nędzą i ciężką pracą, która owej nędzy usunąć nie mogła, ale związanych z ziemią pracą, która z każdym rokiem przynosi ulepszenie własnego gospodarstwa, polepsza byt. Niewymierna, ale olbrzymia jest wartość sił psychicznych, którą wyzwala ta praca na własnych zagonach, nareszcie zdolnych nie tylko zaledwie wyżywić, ale coraz lepiej wyżywić i utrzymać całe rodziny.

Rewolucja została dokonana. Krzywdzące niesprawiedliwości wyrównane. Uzyskane zdobycze trzeba teraz rozszerzyć i utrwalić. Aby reforma rolna dała pełne wyniki trzeba wykonać jeszcze wielką pracę. Rozparcelowane grunty trzeba w wielu wypadkach zmeliorować. Chłopi muszą otrzymać wydatną pomoc w założeniu nowych gospodarstw. Potrzeba przede wszystkim koni, traktorów, bydła i ziarna do siewu. Ponieważ najpoważniejszym zadaniem jakie stoi w tej chwili przed rolnictwem jest zapewnienie należytej aprowizacji kraju w trudnym okresie przejściowym, wysiłki rządu zmierzają ku temu, ażeby nowo utworzone gospodarstwa zaczęły jak najszybciej funkcjonować.

Wykonano już wielką pracę, uruchomiono poważne kredyty. Nie zaniedbano żadnej dziedziny potrzeb. Teraz jednak przychodzi kolej na samych chłopów. Ich ręce nawykłe do trudu nie zawiodą na pewno. (st. g.)

Majdanek staje się symbolem

Wszyscy wiemy o tym, czym był Majdanek. Ci, którzy przeżyli Warszawę lub terror w Zamojszczyźnie, ci, którzy bezpośrednio zetknęli się z okrucieństwem niemieckim w obozach koncentracyjnych lub na ulicach miast — wiedzą dobrze, że wszystko cokolwiek mówi się o Majdanku, wszystko cokolwiek o nim się pisze niedorównuje niedawnej rzeczywistości, że jest tylko bladą, pozbawioną naturalnego zabarwienia odbitką pewnych, często nieistotnych nawet, fragmentów. Nikt nigdy nie będzie umiał odtworzyć męki ludzi, którzy zginęli w Lubelskim Obozie Śmierci, jak nikt nie będzie umiał odtworzyć największej w dziejach świata tragedii milionowego miasta — Warszawy, tragedii, która przejdzie do historii, jako symbol największego bohaterstwa i najboleśniejszych cierpień.

Jeden z byłych więźniów obozu, Kazimierz Wdzięczny, w zeznaniach swoich powiedział, że „Dante nie miał podstaw do stworzenia piekła— nie znał przecież Majdanka i innych niemieckich obozów koncentracyjnych".

Ale najlepsze nawet zeznania byłych więźniów obozu są tylko, zatartym przez oddalenie i wolność, wrażeniem tego, co było dawno temu, niemal że w innym bycie i o czym lepiej nie myśleć, nie pamiętać, nie przypominać sobie. Jest to podobne do zacierania śladów po koszmarnym śnie przez świadomość obudzonego człowieka, ukrycie treści tego snu w głębi mrocznej i nie lubiącej światła dziennego podświadomości.

Wiemy jak ważną rolę odgrywa wychowanie młodzieży. Wiemy, że młodzież najłatwiej przekonać można operując konkretnymi faktami, dając niezbite dowody na poparcie tez wygłaszanych. Jednym z takich dokumentów historycznych, dla wszystkich pokoleń, stać się musi Majdanek. Nie w celu hodowania nienawiści, ale dla wyrobienia czujności, dla wykazania, że niebezpieczeństwo ze strony zachodniego sąsiada istnieje, zawsze jeszcze groźne, że Niemcy nie wyzbyli się swoich dążeń, swojej wiary w siłę pięści i wyższość rasy germańskiej. Nie trzeba się łudzić maską uniżenia i pokory, którą Niemcy założyły po przegranej wojnie. Tytuły gazet coraz częściej mówią o tym, że po tamtej stronie Odry, ludzie, którzy ponieśli zdawałoby się niepowetowaną klęskę podnoszą znowu głowy, starając się wygrać pokój, że bogi germańskie, chciwe krwi i władzy, podnoszą się, dźwigane przez wyznawców swastyki, że hitleryzm się odradza.

I kiedy w Wielkiej Brytanii ludzie opuszczają sale kinowe, gdzie wyświetlane są filmy dokumentarne z czasów okupacji, kiedy Anglicy oburzają się, że można pokazywać takie potworności ludziom spragnionym rozrywki, a równocześnie ronią łzy nad biednym, zrujnowanym krajem „łagodnych piwoszów" i „genialnych myślicieli" — my, którzyśmy przeżyli okupację i byliśmy zmuszeni patrzeć na egzekucje kobiet i dzieci, na obozy koncentracyjne i płonącą Warszawę, my, którzy oglądaliśmy „łagodność" i „ludzkość" Niemców nie na filmie, lecz za kratami więzień — my zachowamy wszystkie dowody zbrodni i nie uronimy ani jednej łzy współczucia nad „niewinnym" i „nieświadomym" Vaterlandem. Nikt tak jak my, Polacy, nie pragnie braterstwa i pokoju, nikt nie jest bardziej skory do wybaczania win, do wzajemnego zrozumienia i wzajemnej współpracy z innymi narodami. I właśnie dlatego, właśnie dla idei najszerzej pojętej demokracji i braterstwa ludów, nie możemy hodować w sobie źle rozumianych zbyt pacyfistycznych uczuć; musimy wyrobić w sobie zmysł przewidywania przyszłości i dalekowzroczność polityczną; musimy wyrobić w sobie nową cechę: stanowczość; musimy utrzymać się w stanie ciągłego pogotowia.

I do tego celu służyć ma również Majdanek.

Nie do pomyślenia jest zachowanie obozu w całości, zwłaszcza, że uległ on poważnej dewastacji. Zachowane i odrestaurowane są najważniejsze obiekty, które służyć będą w przyszłości jako dokument. Ale w związku z byłym Lubelskim Obozem Śmierci powstała myśl piękna, którą za wszelką cenę przeprowadzić musimy. Oto co pisze o tym Prof. Romuald Gutt:

„Wydział Muzeów i Pomników Martyrologii Polskiej, powołany do plastycznego upamiętnienia męki narodu polskiego, pragnie uczcić teren obozu śmierci na Majdanku tak, aby ziemia zmieszana z prochami milionów ludzi stała się po wieczne czasy miejscem kultu dla tych, którzy zginęli w walce o wolność Polski.

Niemcy wierzyli, że przemysł ich oparty na surowcu polskim, spełni szybko swoje zadanie, i dlatego zbudowali na Majdanku prowizoryczne miasto drewniane, rozbudowując je przez kilka lat w miarę doskonalenia metod zdobywania surowca ludzkiego z kopalnń europejskich. Obecnie brakuje już wielu baraków, ale ze względu na wrażenie, jakie i dziś jeszcze wywiera na przyjezdnych całość obozu, proponuje się pozostawić istniejące baraki dotąd, dopóki to będzie możliwe.

„Miejsce kulminacyjne, oznaczone wysokim kominem krematorium, który panował nad miastem tak, jak w średniowieczu panowały wieżyce gotyckich katedr, przeznaczone jest na trwały budynek muzealny. Gmach ten obejmie piece krematoryjne jako eksponaty, świadczące o polskiej martyrologii. Mieścić się w nim będą wszystkie pozostałe eksponaty i dokumenty niemieckie, mówiące o kulturze tych, którzy w XX wieku wznosili miasta śmierci i o męczeństwie tych, którzy umiłowali wolność".

Na skrawku ziemi, objętej przez Majdanek, powstanie w niedalekiej przyszłości jedyny w swoim rodzaju pomnik. Dwadzieścia dwa narody, które walczyły z niemieckim barbarzyńcą, których synowie zginęli męczeńską śmiercią za drutami obozu, wspólnym wysiłkiem uczczą pamięć poległych. Będzie to najbardziej demokratyczny pomnik świata, symbol zwycięstwa sprawiedliwości nad bezprawiem, symbol braterstwa narodów w walce o wolność człowieka.

STANISŁAW BRODZIAK

Protest przeciwko zajściom w Limmer

W związku z ostatnimi zajściami w obozie dla polskich wysiedleńców w Limmer (strefa brytyjska), w których udział wzięło 500 niemieckich policjantów pod wodzą 2 angielskich oficerów, na terenie całego kraju odbywają się zebrania protestacyjne. Najbardziej wymowny protest uchwaliło Koło inowrocławskie PZBWP, który zamieszczamy poniżej.

Z drugiej strony fakt pobicia i obrabowania naszych Rodaków, przebywających dotąd jeszcze w Niemczech, którzy zbałamuceni wrogą nam propagandą nie wracają do kraju — niech będzie groźnym memento, że miejsce Polaka jest w Polsce!

Wiadomość o napadzie pięciuset policjantów niemieckich na obóz polskich wysiedleńców w Limmer, na terenie strefy okupacyjnej angielskiej, — oraz o dokonanych tam rabunkach i pobiciach, my polscy byli więźniowie polityczni, przyjęliśmy pełni oburzenia i stwierdzamy, że krzywda, jaka spotkała polskich więźniów politycznych, znajdujących się w obozie oraz resztę polskiej ludności — musi być naprawiona.

Przywrócenie i utrzymanie pokoju na świecie może nastąpić tylko w atmosferze przyjaźni wszystkich narodów i poszanowania prawa człowieka. Naród niemiecki natomiast wychowany w kulcie przemocy i gwałtu był do tej pory wrogiem pokoju i ludzkości, przegrana wojna niczego ich nie nauczyła. — Ostatnie zajścia są alarmującym ostrzeżeniem dla całego świata, że hydra niemiecka grozi pokojowi świata.

Pełni świadomości niebezpieczeństwa dla pokoju i szczęścia ludzkości, jakie ujawnione zostało przez barbarzyńskie wystąpienie faszystowsko - hitlerowskiej policji w Limmer — wzywamy Naród Polski do zaprotestowania wobec całego świata przeciwko burzycielom pokoju i gwałcicielom praw człowieka.

Niemcy, pokonani zbrojnie, nie przestali być niebezpieczeństwem dla świata tak długo, dopóki w nich pokutuje barbarzyński duch zbrodniczych germanów. Zbyt duże ofiary Naród Polski poniósł w ostatniej wojnie z hitlerowskim gadem, nie licząc krzywd, jakie go spotkały w ciągu tysiącletniego zmagania się ze złym sąsiadem, aby można dziś obojętnie patrzeć na budzenie się hydry krzyżackiej.

Naród niemiecki był i jest śmiertelnym wrogiem nie tylko Polaków, ale wszystkich słowian, a nawet całej ludzkości.

Stwierdzając powyższe, my byli więźniowie polityczni z miasta i powiatu inowrocławskiego na zebraniu nadzwyczajnym wzywamy nasze władze naczelne organizacyjne:

a) do bezzwłocznego podjęcia najenergiczniejszych kroków na terenie tych krajów, gdzie istnieje nasza organizacja, celem spowodowania solidarnego protestu przeciwko bezprawiom odradzającego się hitleryzmu.

b) aby zwróciły się do Rządu Polskiego z prośbą o bezzwłoczną interwencję u władz angielskich o ukaranie zbrodniczych policjantów i zwrot zrabowanego mienia poszkodowanym.

Aby na przyszłość podobne wypadki znęcania się hitlerowców nad bezbronną ludnością polską na terenie Niemiec więcej miejsca nie miały, prosimy gorąco, aby Rząd Polski podjął bardzo energiczne kroki, celem przyśpieszenia repatriacji Polaków, przebywających jeszcze do tej pory na terenie Niemiec.

W akcji tej oddajemy się wszyscy do dyspozycji Rządu Polskiego. Nie pozwolimy, aby Niemiec pluł nam w twarz i obrzucał obelgami. Emigracja polska na terenie Niemiec musi być natychmiast zlikwidowana — bo tego wymagają nasz honor i poczucie godności, tym bardziej, że władze angielskie nie potrafią emigracji polskiej należycie bronić, mimo, że widzą bezprawie i krzywdę wygnańcom polskim wyrządzaną.

Naród Polski walczył o pokój i sprawiedliwość społeczną i w walce tej poniósł stosunkowo największe ofiary przeto ma dziś prawo niezaprzeczne oczekiwać, aby był szanowany i broniony szczególnie przed krzywdą ze strony burzycieli pokoju — zbrodniczych faszystowsko - hitlerowskich elementów niemieckich.

NOC

Rys. J. Brandhuber

Muzeum w Oświęcimiu otwarte codziennie

Wycieczki należy zgłaszać listownie.

Wskutek dużego nasilenia wycieczek i wzrastającego zainteresowania, jakie budzi dawny obóz koncentracyjny i muzeum martyrologii w Oświęcimiu, zwiedzanie muzeum oświęcimskiego i obozu w Brzezince ustalone zostały na godz. od 8 — 16.

Wycieczki zbiorowe należy zgłaszać listownie na adres dyrekcji muzeum w Oświęcimiu, która może zapewnić nocleg dla 100 osób oraz aprowizację mniejszych grup.

Kierownictwa wycieczek, które pragną pobrać prochy z miejsc straceń, lub zorganizować uroczystości i składanie wieńców na terenie b. obozów, powinny uzyskać zgodę dyrekcji muzeum.

Wszelkie dary gotówkowe lub materiałowe na budowę muzeum należy nadsyłać bezpośrednio na adres dyrekcji Muzeum.

Oto idą hitlerowcy

Sprawa rozładowania wzrastającej stale aktywności zwolenników Mosley'a poruszana jest zarówno na łamach prasy brytyjskiej, jak i wśród członków angielskich ugrupowań politycznych oraz społecznych.

Obradujący niedawno w Londynie Kongres Związków Zawodowych wyraził zaniepokojenie z powodu coraz ostrzejszych wystąpień faszystów angielskich.

„Daily Herald" zamieścił na ten temat artykuł, w którym m. in. stwierdza:

„Sądzimy, że stanowisko kongresu podziela wiele obywateli brytyjskich. Wolność słowa i wyrażania swej opinii nie obejmuje prawa grożenia niewinnym ludziom i podniecenia do nienawiści rasowej. Kampania antyżydowska, prowadzona przez faszystów, zwraca się nie do rozsądku, lecz do najniższych instynktów ludzkich. Zaniepokojenie, któremu dał wyraz Kongres Związków Zawodowych, powinno przekonać rząd, iż należy położyć kres szerzeniu prowokacji antysemickiej".

„News Chronicle" przypuszczając, że uchwały kongresu znajdą szeroki oddźwięk w społeczeństwie brytyjskim pisze, że „żadna demokracja nie może przejść do porządku dziennego nad dążeniami faszystów, gdyż stanowią one niebezpieczeństwo dla jej własnego istnienia".

Również socjalistyczny tygodnik „Reynalds News" omawiając ostatnie demonstracje faszystów brytyjskich stwierdza, że „dzielnica East End w Londynie jet jedynym miejscem w Europie poza Hiszpanią frankistowską, gdzie doktryny hitlerowskie i teorie nienawiści rasowej są jawnie głoszone na ulicach".

Skandaliczna sprawa żydowskich emigrantów z „Exodusa", których internowano w obozie koncentracyjnym koło Lubeki, stosując przy tym terror, bicie pałkami i inne restrykcje, nasuwa niedwuznaczne sugestie, że rząd brytyjski nie tylko darzy sympatią odradzający się hitleryzm, ale przejmuje jego barbarzyńskie metody, potępione przez wszystkich uczciwych ludzi.

Warto przytoczyć w tym miejscu pełne drapieżnej goryczy słowa przywódcy emigrantów żydowskich, Mordechij Rosman, który zbity do krwi pałkami przez żołnierzy brytyjskich sprowadzających go ze statku, wołał pod ich adresem: „Oto idą hitlerowcy"! Pamiętajcie o Belsen".

Zdrowa opinia brytyjska i tym razem stanęła po stronie maltretowanych Żydów.

„Manchester Guardian" stwierdził, że „jest to niewątpliwie brzydka historia".

My powiedzieliśmy więcej jeszcze: „Jest to historia, która odpowiedzialnych przedstawicieli rządu brytyjskiego stawia obok „bohaterów" Norymbergi oskarżonych o zbrodnie przeciwko ludzkości.

J. Sk.

WIELKA OFENSYWA

Za kulisami Panameryki

Ludzie Ameryki Południowej to ludzie ambitni i powiedzmy to szczerze zamiłowani w efektach zewnętrznych. W Argentynie na przykład można się narazić na wielkie przykrości, wychodząc na ulicę w białym stroju, uważanym tu za ustrój kolonialny. Dla Argentyńczyków względy klimatyczne nie grają roli. Nie wolno ubierać się na biało — i koniec. Nie jesteśmy w kolonii.

O ile jednak dzielni potomkowie Hiszpanów i Portugalczyków umieją doskonale bronić swej niezależności narodowej na płaszczyźnie, jeśli to tak wolno określić, krawieckiej, to przychodzi im to nieraz dużo trudniej w dziedzinie gospodarczej.

Jeżeli nawet położenie geograficzne i sytuacja międzynarodowa uniemożliwiły mocarstwom kolonialnym objęcie spadku po chylących się ku upadkowi imperiach kolonialnych Hiszpanii i Portugalii, i olbrzymia większość terytorjów Ameryki Łacińskiej zdobyła niepodległość, to jednak żadna z republik nie mogła czy nie umiała przeciwstawić się ekspansji gospodarczej kapitału niemieckiego, angielskiego i amerykańskiego.

Po przegranej przez Niemcy wojnie głównymi konkurentami na rynkach południowo-amerykańskich zostali Amerykanie i Anglicy. I nigdzie może poza Bliskim Wschodem konkurencja tych dwóch „przyjaciół" nie występuje tak jaskrawo, jak właśnie tu.

Że Anglia jest wobec Ameryki partnerem słabszym, o tym już ogólnie wiadomo. Że Amerykanie przewagę swą wszędzie chętnie podkreślają — to też wiadomo.

Ale na konferencji panamerykańskiej w Petropolis, konferencji, do której, jak widać, Stany Zjednoczone przywiązywały b. wielką wagę, skoro pofatygowali się na nią i prezydent Truman i min. Marshall podjęto pierwszy raz ofensywę, na najbardziej istotną podstawę potęgi angielskiej — na jej posiadłości dominialne.

Bo przecież wystosowana do Kanady propozycja włączenia się do tzw. „amerykańskiego systemu obronnego" nie była niczym innym jak próbą przyciągnięcia tej potężnej planety brytyjskiego systemu słonecznego w orbitę Stanów Zjednoczonych.

Tym razem Kanada jeszcze odmówiła, przypominając, że należy do systemu obronnego imperium. Ale co będzie dalej? Amerykanie mają na ogół liczne środki perswazji w stosunku do Imperium i trudno rezygnują z raz wytkniętych celów.

Kampanii tej towarzyszyły oczywiście drobne szczypiące akcje dywersyjne. Różne republiki południowo-amerykańskie zgłosiły pretensje do posiadłości brytyjskich z okolicami podbiegunowymi włącznie. Popierały one swe żądania różnymi wzniosłymi hasłami. Powoływały się na samostanowienie narodów i wykluczenie czynników pozaamerykańskich z terenów Ameryki. Ale trudno przypuścić, by małe, słabe republiki wszczynały tę akcję nie czując poparcia kogoś mocniejszego...

Całe to zagadnienie „obrony" kontynentu amerykańskiego posiada jeszcze jeden aspekt.

Drobne państwa południowo-amerykańskie udając się na konferencję żywiły wielkie nadzieje z dziedziny gospodarczej. Potrzebują one wielu rzeczy, których mógłby im dostarczyć ich potężny sąsiad z północy. Statki, maszyny, środki lokomocji — oto przedmioty, których Ameryka Płd. mogłaby użyć bardzo wiele i to natychmiast.

Stany Zjednoczone nawet słuchać nie chciały o tych sprawach. W wielkim pospiechu przeforsowały one zawarcie „paktu obronnego" i postarały się o zamknięcie konferencji. Sprawy gospodarcze „przesunięto" w jakąś mglistą przyszłość.

Otóż, jeśli ktoś się chce bronić, to normalnie wie przed kim. Uczucia nieuzasadnionej obawy, której źródła nie da się określić cechują wyłącznie pewien rodzaj szaleńców, a Amerykanie ponoć są aż nadto trzeźwi. I któż to właściwie tak zagraża kontynentowi amerykańskiemu, żeby trzeba było na gwałt montować „punkt obrony" połowy kuli ziemskiej.

Otóż w pakcie tym Amerykanie forsowali pewną formułę która rzuca trochę światła na to zagadnienie. Wszystkie państwa amerykańskie mają mieć zestandaryzowane uzbrojenie. Zestandaryzowane według modeli Stanów Zjednoczonych. Modele te wyrabiają oczywiście fabryki w Stanach. Republiki Ameryki Południowej albo nie mają wcale fabryk broni, albo prymitywne fabryki nieprzystosowane do tych typów.

Otóż amerykańscy businessmani chętnie sprzedadzą swoim braciom południowym broń, ba, zmuszą ich do kupowania jej. Wygodniej jest przecież sprzedawać broń, która pochłania olbrzymie sumy z budżetu państw południowo-amerykańskich i uniemożliwia im w ten sposób rozbudowę własnej gospodarki, robi i w innych dziedzinach z tych krajów wasala gospodarczego USA, aniżeli sprzedawać im maszyny i urządzenia fabryczne, które pozwolą im rozwinąć własny przemysł i transport i potrochu uniezależnić się od sąsiada z północy. Panowie z Wall Street zapewniają sobie rynki na przyszłość.

Zresztą zadłużenie wynikłe z zakupów broni która przecież wciąż się modernizuje i musi być na nowo kupowana i niczego nie wytwarza pozwoli bankierom z USA położyć rękę na tych, nielicznych już, przedsiębiorstwach, których dotąd nie opanował kapitał amerykański. Ucierpią tu inne państwa (w pierwszym rzędzie Anglia) które kapitały swe lokowały w Ameryce Południowej, ale przede wszystkim ludność miejscowa, której owoce pracy pójdą do kieszeni cudzoziemskich magnatów finansowych.

Dzielni mieszkańcy Ameryki Południowej potrafili jak dotąd skutecznie bronić się tylko przed... białymi marynarkami. Inne, bardziej istotne cechy systemu kolonialnego, czy półkolonialnego zostały im narzucone.

Jest jeszcze jedna ciekawa cecha tego „paktu obronnego". Otóż w przekonaniu jego sygnatariuszy Ameryka dziwnie się „roztyła". Pakt obejmuje nie tylko wyspy falklandzkie, które, jakkolwiek należą do Anglii, które paktu oczywiście nie podpisywały, leżą rzeczywiście przy brzegach Ameryki, ale nawet... Grenlandia. Senator Vandenbergh, jedna z najbardziej miarodajnych osób w sprawach polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych oznajmił przy tym, że sprawa suwerenności Danii nie wchodzi tu w rachubę. Dziwnie wielkoduszni są ci Amerykanie włączając do ich systemu obrony nawet tych naiwnych, „którzy tej obrony nie chcą.

Wobec tego, że, jak już mówiliśmy, nie wiadomo przed kim właściwie bogata Ameryka chce się bronić, czy przed zrujnowaną przez wojnę Europą, czy przed rozdartą przez wojnę domową Azją, przed Związkiem Radzieckim, zajętym obecnie leczeniem zadanych wojną ran i skoncentrującym na każdym kroku swą wolę pokoju, czy może przed Luxemburgiem? A może w Departamencie stanu oczekują najazdu Marsjan?

Otóż wobec tego, że nie wiadomo przed kim Ameryka chce się bronić i że wciąga do tej „obrony" prawie siłą chętnych i niechętnych, zachodzi naraz takie filozoficzne pytanie — co w ogóle jest obroną? Ostatecznie Hitler też twierdził, że się tylko ciągle broni przed otoczeniem.

W czasie gdy obradowała konferencja w Petropolis radzono jednocześnie w Paryżu nad martwo urodzonym „planem Marshalla", w Waszyngtonie i w Londynie toczyły się rozmowy w sprawie węgla i przemysłu Zagłębia Ruhry, prowadzono już któreś tam z rzędu pertraktacje z Czang Kai Szekiem...

I kiedy się to wszystko zestawiło, to można było dojść do przekonania, że nie chodzi tu o żaden „punkt obrony", ale po prostu o przeprowadzenie w Ameryce południowej tej polityki, którą pewne koła finansowe - przemysłowe starają się narzucić ostatnio Stanom Zjednoczonym, polityki dążenia do hegemonii nad światem, polityki wyzysku i kolonialnej eksploatacji wszystkich zakątków kuli ziemskiej.

Jur.

Na widowni międzynarodowej

Stoimy pod znakiem obrad Generalnego Zgromadzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jak wielką wagę do obrad Zgromadzenia przywiązuje Polska, najlepszym dowodem jest wyjazd do Stanów Zjednoczonych, gdzie obrady te się rozpoczną dnia 16 września, ministra spraw zagranicznych Modzelewskiego. Zapowiedziane jest odczytanie podczas obrad specjalnego orędzia prezydenta Trumanna przez sekretarza stanu Marshalla. Treść orędzia otoczona jest mgłą tajemnicy. Niemniej jednak już dzisiaj możemy sobie powiedzieć, że poruszy ono sprawy europejskie i zagadnienie Niemiec szczególnie. Przecież jest to dzisiaj oczko w głowie Wuja Sama. Stwierdzić należy, że Organizacja Narodów Zjednoczonych, grupująca 55 państw, w ostatnich czasach znacznie straciła na autorytecie. Poszczególne komisje nie pracują tak, jakby można było się tego spodziewać. Szczególnie, gdy chodzi o Radę Bezpieczeństwa. Toteż polski minister spraw zagranicznych, Modzelewski, uważał za wskazane oświadczyć korespondentom zagranicznym podczas krótkiego pobytu w Paryżu w drodze do Stanów Zjednoczonych, że jedzie na sesję ONZ, aby podkreślić tam wagę, jaką przywiązuje Polska do tej organizacji i przyczynić się do wzmocnienia autorytetu ONZ, osłabionego w ostatnich czasach.

Głównym jednak zagadnieniem, interesującym w chwili obecnej całą opinię publiczną — to sprawa zagłębia Ruhry. Jednostronne postanowienie anglo-amerykańskie stawia pod znakiem zapytania umowy poczdamskie w ogóle. Nic dziwnego, że Związek Radziecki w sposób najbardziej kategoryczny zaprotestował przeciwko porozumieniu anglo - amerykańskiemu w sprawie zarządu kopalń Ruhry. Wiąże się to przecież ściśle z odbudową Niemiec w ogóle. Podniesienie produkcji przemysłowej Niemiec to nowa groźba agresji w kierunku Francji i Polski.

Na temat istniejących różnic zdań co do poszczególnych zagadnień politycznych między wielkimi mocarstwami wygłosił ostatnio przemówienie sekretarz generalny ONZ, Trygve Lie. „W chwili, gdy w San Francisco podpisywana była Karta Narodów — stwierdza Lie — mieliśmy nadzieję, że traktaty pokojowe zostaną zawarte w niedalekiej przyszłości i że stworzą one podstawę ogólnego porozumienia politycznego i gospodarczego w Europie i na Dalekim Wschodzie. Niestety, stało się inaczej. Nie do mnie należy krytyka wielkich mocarstw z tego powodu — ciągnie dalej Lie. — Musimy zgodzić się z tym, że pewne sprawy mają znaczenie zasadnicze i że osiągnięcie kompromisu jest w tych kwestiach trudne. Nieporozumienia obecne są, zdaniem moim, przejściowe. Niewątpliwie nadejdzie dzień, kiedy różnice zdań między narodami zostaną przezwyciężone". Tyle Trygve Lie.

Tymczasem zaś presja Stanów Zjednoczonych na poszczególne kraje, które potrzebują pomocy, trwa. Francja, która znajduje się w sytuacji dość rozpaczliwej, otrzymała memorandum amerykańskie, które wyłuszcza warunki, pod którymi uzyskać może pomoc finansową zamożnego „sprzymierzeńca" zza Oceanu. Warunki są wręcz kompromitujące i napewno nie znajdzie się żaden rząd, któryby warunki te akceptował.

Na terenie Europy działa już specjalna komisja Kongresu amerykańskiego, która mając w teczce kwestionariusz z 200 pytaniami bada warunki ekonomiczno-polityczne w poszczególnych krajach kontynentu. Od opinii tej komisji zależeć będzie ewentualna pomoc St. Zjednoczonych. Jak twierdzą źródła na ogół dobrze poinformowane, pomoc Ameryki dla Europy wyrażać się ma w granicach ponad 20 miliardów dolarów. Eksperci 16 państw — obradujący już od miesiąca w Paryżu — twierdzą, że potrzeba raczej 30 miliardów, lecz potentaci finansowi Waszyngtonu radzą ograniczyć się w ramach 20 miliardów. Zobaczymy.

Tymczasem w Grecji armia monarchistyczna przeszła od 1 września całkowicie na żołd amerykański. Stwierdziła to oficjalnie misja wojskowa St. Zjednoczonych, przebywająca w Atenach. Wydatki dzienne wynoszą bagatelną sumę — 100.000 dolarów. Nowy rząd grecki, składający się z monarchistów i ludowców, ogłosił coprawda amnestię, lecz koła demokratyczne widzą w kroku tym tylko manewr taktyczny. Mianowicie chodzi o reorganizację armii rządowej w związku z dostawą nowego sprzętu amerykańskiego i koniecznością zapoznania jednostek wojskowych z tą bronią.

Dowódca wojsk powstańczych, gen. Markos, oświadczył, iż grecka armia demokratyczna gotowa jest zawrzeć zawieszenie broni pod warunkiem jednak, że w Grecji utworzony zostanie rząd, złożony z przedstawicieli wszystkich partii, stojących na gruncie demokracji parlamentarnej.

Należy jeszcze podnieść, że znajdująca się obecnie na Morzu Śródziemnym flota amerykańska nie ma wcale zamiaru morze to opuścić. Tak przynajmniej oświadczył dowódca sił morskich USA. Bieri, stwierdzając, że interesy Stanów Zjednoczonych nie zakończą się z chwilą zawarcia niemieckiego traktatu pokojowego. Flota amerykańska na Morzu Śródziemnym składa się z 5 krążowników, 1 lotniskowca ze 150 samolotami, 7 kontrtorpedowców i 6 jednostek pomocniczych. Nie mało.

Na zakończenie jeszcze taka wiadomość, że nasz szczególny przyjaciel niemiecki, dr Schumacher, znany z wystąpień przeciwko polskim granicom zaproszony został do Stanów Zjednoczonych, gdzie spotka się z przedstawicielami wszystkich warstw społecznych.

Uwaga! Uwaga! Lada chwila dowiemy się na fali radiowej „Ameryka woła Europę", że trzeba czym prędzej nieść pomoc nieludzko skrzywdzonej Germanii, którą okupują (w obozach osiedleńczych) nieznośni Słowianie, przeciw którym ze zrozumiałych względów buntują się uciemiężeni policjanci w... Limmer.

Nie udała się Niemcom
sztuczna wylęgarnia „nadludzi"

Jeszcze w bież. miesiącu rozpocznie się w Norymberdze proces przeciwko 4 organizacjom niemieckim (RKFDV, VOMI, RUSHA i Lebensborn) oskarżonym o szereg zbrodni dla celów — rasowych. W ramach tego procesu znajdzie się również „sprawa nr 8", o czym donosiliśmy w poprzednim numerze, a wielu świadków polskich wyjeżdża do Norymbergi, aby złożyć zeznania dotyczące wysiedlania ludności polskiej z „rdzennie niemieckich" terenów, przymusowego wpisywania na volkslistę „rasowo czystych" Polaków, germanizowania i porywania w celach germanizacyjnych dzieci polskich i młodzieży.

Proces potrwa 4 do 6 miesięcy i niezawodnie odsłoni nowe szczegóły rasistowskiego obłędu hitlerowców. Dzisiaj chcemy przypomnieć jak wyglądała sztuczna wylęgarnia „nadludzi".

Koncepcja tworzenia nowej rasy „nadludzi" pokutowała w umysłach hitlerowskich od pierwszych dni istnienia partii. Specjalne zakłady wychowawcze dla przyszłych „fuehrerów", najbardziej obiecujące elementy spośród Hitlerjugend szkoliły na reprezentacyjne okazy rasy germańskiej.

Już od wiosny 1939 r. Himmler nawoływał młodych SS-manów i młode dziewczęta z organizacyj partyjnych do rodzenia „germańskich dzieci" nawet poza małżeństwem, na jesieni Rudolf Hoess apelował do młodzieży hitlerowskiej: „To jest wielka zasługa mieć nieprawe dziecko. Jestem ojcem wszystkich nieślubnych dzieci Trzeciej Rzeszy!"

Jak pamiętamy, w czasie wojny narzeczona żołnierza, o ile była w ciąży, otrzymywała nazwisko i emeryturę po nim, o ile poległ w boju. Formalności ślubne dla żołnierzy na urlopie zostały zniesione, a małżeństwa per procura, na odległość nieraz wielu tysięcy kilometrów nie należały do rzadkości. Ale tego było mało. Hitlerowski Instytut Rasowych Małżeństw postanowił stworzyć sztuczną wylęgarnię „nadludzi".

W małym miasteczku, w cichym zakątku Bawarii, nad olbrzymim jeziorem Tagensee, rozpoczęła działalność organizacja Lebensborn, która ukrywała się pod firmą Instytutu. W pięknych willach urządzonych bajecznym przepychem, urlopowani SS-mani oczekiwali na swe „narzeczone" na jedną noc.

Dziewczęta, które zostały uznane za godne zaszczytu urodzenia syna hitlerowcowi, musiały być oczywiście bardzo piękne, zdrowe i dokładnie zbadane pod względem czystości rasy. To nie przeszkadza, że przyjeżdżały tu nie tylko dziewczyny, często nawet z dobrych rodzin niemieckich, ale doprowadzano także kobiety z innych narodowości — Czeszki, Polki, Litwinki, Łotyszki.

Z całej podbitej Europy płynęły do Tagensee najdroższe wina, najpiękniejsze furta, najwymyślniejsze perfumy. Dziewczyna przyjeżdżająca tutaj, otaczana była na krótki przeciąg czasu atmosferą luksusu, o którym marzyć nie mogła. Rodziła następnie w najdroższej klinice, otrzymywała wspaniałą wyprawę dla siebie i dziecka, po porodzie jechała do równie luksusowego sanatorium, „Lebensborn" płacił nawet masaże i zabiegi w specjalnych instytutach piękności.

Około 20.000 dzieci przyszło w ten sposób na świat.

Zgodnie ze statutem organizacji miały one tworzyć przyszłe kadry partii hitlerowskiej. Szczególnie chłopcy mieli być otoczeni od chwili narodzenia specjalnie troskliwą opieką, aby, gdy dorosną, mogli stać się kierownikami narodu niemieckiego i panami ludów podbitych.

Ale są prawa natury, których człowiek nie złamie. Uczeni niemieccy, którzy w 1944 roku badali dzieci z Lebensborn, doszli do zgodnego wniosku, że „pod wieloma względami stoją one na znacznie niższym poziomie", niż dzieci urodzone normalnie i wychowywane w rodzinie. Po prostu nie „nadludzie", a matoły...

„Wielka idea" poniosła kompletne fiasco. Obecnie Niemcy starannie ukrywają pochodzenie dzieci „wyprodukowanych" nad pięknym bawarskim jeziorem, ale proces norymberski, który odsłonić musi tajemnicę organizacji Lebensborn, ośmieszy raz jeszcze przed całym światem „naukę hitlerowską" i ukarze surowym wyrokiem winnych niebywałej w dziejach demoralizacji młodzieży i gwałcenia praw natury.

Kto zna

Jakuba Kozolcik vel Kozlowitz (capo XI bloku w Oświęcimiu) który występował również pod nazwiskiem Jakub lub Joc Jacobs, trener Schmelinga — wzrost ok. 173 cm., waga ok. 150 kg., szatyn, oczy ciemne?

Zeznania składać w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego — Koszykowa 6, tel. 8121 z Biura Przepustek (podać: w sprawie Kozlowitza).

Sabina Kazanowska

Piosenka na drogach Italii

W Rzymie jest duszno i gorąco.

Słońce praży niemiłosiernie. Członkowie ekipy radia „Roma", którzy wyjeżdżają na audycję specjalną w teren, są cali mokrzy od potu. Jadę razem z nimi. Jestem oszołomiona upałem i lekko nieprzytomna z gorąca.

Wyjazd wyznaczony został na trzecią popołudniu. Oczywiście, szef działu reportaży, Wittorio Veltroni, zawodowy dziennikarz, spóźnia się. Tymczasem reżyser i aktor Guido Garbaresi, oraz inżynier Gino Orsini, informują mnie po co i gdzie jedziemy. A więc radio włoskie w okresie lata aż do późnej jesieni prowadzi cykl audycji pod poetycznym tytułem „Arka Tęczy". Po włosku brzmi to melodyjniej: „Arcobaleno". Po prostu ekipa radia, bez żadnego przygotowania jedzie w teren raz tygodniowo, zabierając ze sobą dwóch reporterów, dwóch, trzech piosenkarzy, obsługę techniczną i oczywiście wóz transmisyjny.

„I co się robi?" — pytam.

„Ano — audycję regionalną z orkiestrą, śpiewami, miejscowym folklorem".

„Tak — bez programu?"

„Program robimy na miejscu."

Nie pytam więcej, bo po prostu rozpływam się z gorąca. Nieprzychylnie patrzę na zamknięte pudło wozu transmisyjnego. Jedziemy do Fiuggi. Nie wiem gdzie to jest i co to jest — ale mogę jechać nawet do piekła, — napewno tam nie będzie goręcej.

Nareszcie jest Veltroni i cała obsługa techniczna. Pakujemy się do autokaru. Odrazu wytwarza się przemiły koleżeński nastrój. Stary aktor Barbaresi oczywiście „fasuje" najlepsze miejsce koło szofera. Veltroni ze swadą dziennikarską rzuca parę uszczypliwych uwag o sprawach tego świata i polityce, — młody adept sztuki dziennikarskiej Lello Bersani próbuje sekundować starszemu koledze. Inżynier Orsini, choć „cywil", zgrał się z tą aktorsko-dziennikarską ekipą i dostroił do niej. Już po kilzdaniach czujemy, że jesteśmy u siebie, — w rodzinie.

Tymczasem droga staje się coraz ciekawsza. Reporterzy rozsuwają dach autokara. Mimo protestów inżyniera wyłażą na wierzch. Olbrzymi samochód posuwa się serpentyną coraz wyżej i wyżej. Dowiaduję się, że Fiuggi leży na wysokim wzgórzu i jest miejscowością kuracyjną, znaną z leczniczych źródeł. Mały Bersani poleca mi ową leczniczą wodę, zaznączając z miejsca, że diablo od niej boli głowa. „Ale to nic — dodaje — na jakieś inne dolegliwości — robi doskonale."

Krajobraz staje się coraz bardziej nieprawdopodobny. Wzgórza, a na nich zawieszne nad prześcistymi wąwozami miasteczko średniowieczne. Cóż za pejzaże. Człowiek czuje się przeniesiony żywcem w średniowiecze. Przejeżdżamy kolejno różne miasta, piękniejsze jedne od drugich. Nie wiem już, w którą stroną patrzeć. Nawet dziennikarze milkną i spoglądają z zachwytem. „Bella Italia" mówi inżynier Orsini. Tak bella — piękna — ale zarazem jakże biedna. Wzgórza pokryte są gdzieniegdzie winnicami — reszta kamienie i skały. Przypomina mi się nasz kochany polski krajobraz — łany pszeniczne, pachnąca ziemia orna. Czuję dumę z naszego bogactwa i mówię: „tak piękna — ale i biedna Italia".

Wieczorem przyjeżdżamy do Fiuggi. Powietrze jest świeże i czyste. O dziwo nie czuje się upału. Wyładowujemy się z auta i zaczynamy szukać miejsca na audycję. Ma się ona odbyć pod gołym niebem na prowizorycznej estradzie. Nareszcie „plan" jest wybrany. Dopadam do Veltroniego i pytam o program audycji. „Może napiszę go dziś w nocy — mówi — a może jutro".

Trzymam się starego aktora — bo wiem, że on napewno znajdzie najlepszy hotel, najlepszą restaurację. Dowiaduje się, że audycję częściowo finansują hotele — a więc locum będzie bezpłatne. Moja wiara w przemyślność aktorską nie zawodzi — zostaję uplasowana w najwykwitniejszym hotelu. Luksus w całym tego słowa znaczeniu.

A tymczasem — idziemy szukać aktorów — tak, zwyczajnie szukać. Dwaj zawodowi pieśniarze i jeden aktor jutro mają przyjechać z Rzymu — orkiestrę i amatorów mamy znaleźć na miejscu. I znów wsiadamy do jakiejś lokalnej kamionetki i jedziemy po aktorów w granatową ciemność.

Nad nami ciemny szafir roziskrzonej nocy — wokoło na wzgórzach migocą światła.

A oto wśród winogron i palm ukryta kawiarnia, w której gra orkiestra. Wchodzimy winogronową alejką na oświetlony kolbrowymi lampionami otwarty teren. Mnóstwo par w regionalnych, barwnych strojach tańczy tanga i foksy. Wokoło lampionów tłumy słuchających muzyki.

Słuchać i tęsknić za muzyką — umieją chyba tylko Włosi. Z trudem znajdujemy wolny stolik. Po chwili, drogą wiodącą obok kawiarni nadjeżdża transmisyjne auto reklamujące naszą jutrzejszą audycję. Zapowiedź słyszy orkiestra i przez mikrofon podaje do wiadomości: „Słuchajcie, słuchajcie — dla Arcobaleno ofiarujemy jutro swoją orkiestrę — czy słyszeliście". A z drogi odpowiada megafon „Tu Arcobaleno — słyszeliśmy i dziękujemy". Publiczność klaszcze. Jest miło i wesoło.

A potem pod granatowym niebem wśród przepysznej ciemnej zieleni i kolorowych lampionów zaczynają się dziać rzeczy dziwne. Amatorzy zaczynają śpiewać piosenki. Publiczność słucha, publiczność śpiewa razem, publiczność klaszcze i gwiżdże — publiczność sama spośród siebie wybiera jutrzejszych wykonawców. Jestem wplątana w melodię i piosenkę — czuję łączność z tym dziwnym narodem, który muzykę ukochał ponad wszystko.

Nazajutrz odbywają się jeszcze próby, klasyfikuje się amatorów i nareszcie Veltroni pisze tekst audycji i układa program. Z Rzymu przyjeżdża znany piosenkarz Antonio Bazurto, młodziutka pieśniarka Nantis i znany aktor dramatyczny Arnoldo Foa.

Wszyscy, wraz z kuracjuszami idziemy pić sławną wodę, która cudownie leczy dolegliwości nerkowe — ale od której wszyscy odczuwają ból głowy. Nikt z nas nie jest i nie był chory na nerki, — pocieszamy się jednak, że to na zapas.

Wieczorem Veltroni napisał audycję bez zarzutu, choć na kolanie. Rozpoczął dialogiem o Fiuggi — zręcznie zareklamował wszystkie hotele, powiedział parę ciętych dowcipów o tak nielubianych tutaj Amerykanach. A więc jest śpiewak z gitarą, który przepięknym głosem śpiewa „Katerina", wzruszającą piosenkę neapolitańską, jest chór złożony z kuracjuszy wykonujący bez zarzutu piosenkę o Fiuggi, jest oczywiście i tenor dobrze śpiewający czołową arię z „Toski", parę zdań mówią stali bywalcy tej miejscowości kuracyjnej i przede wszystkim jest publiczność. I to jaka publiczność. Czujna, reagująca na każdy dźwięk, na każdą melodię, żywa, zespolona z programem.

Obserwuję fotografa, który zdejmuje wykonawców. W pewnej chwili rzuca pracę, twarz mu się rozjaśnia i sam zaczyna śpiewać.

Audycja kończy się — a muzyka brzmi dalej. Orkiestra gra dla własnej przyjemności, piosenkarz Bazurto i Aldo Ronconi śpiewają dla wszystkich z wewnętrznej potrzeby, z własnej ochoty. Publiczność rozumie to i czuje — śpiewa sama refren, oklaskuje piosenkarzy. Tworzy się zaczarowany krąg - - w którym jest tylko melodia w piosence i piosenka w melodii.

Italia śpiewa...

Niedyskrecje

W Polsce bawił prokurator amerykański z Norymbergi, E. H. Schwenk. W rozmowie z dziennikarzami polskimi nie krył swego sceptycyzmu co do metod denazyfikacji w strefie amerykańskiej.

— Odbywa się to zazwyczaj w ten sposób, że Müller zapewnia o niewinności Hoffmanna, Hoffmann zaś ręczy za Müllera i — sprawa jest załatwiona.

— Czy były wypadki, aby pociągano do odpowiedzialności za zbrodnie wojenne Niemców, którzy przeszli pomyślnie przez proces denazyfikacyjny? — pyta dziennikarz.

— Oh, nie tylko to — odpowiada ze śmiechem prokurator. — doprowadzano już do naszego trybunału nieraz i samych przewodniczących Izb Denazyfikacyjnych!

★

W Norymberdze toczy się proces przeciwko 24 dyrektorom I. G. Farben, największego koncernu chemicznego świata, który swoje filie i placówki posiadał w 142 krajach europejskich i zamorskich.

Głównym sędzią mianowany został 79-letni Charles Brown Tears, b. sędzia federalny stanu N. York, znany z reakcyjnych decyzji, które nawet były anulowane przez Sąd Najwyższy. Sędzia Tears jest wychowankiem uniwersytetu berlińskiego.

Jednym z przeciwników dekartelizacji przemysłu niemieckiego jest gen. William Draper, dyrektor sekcji ekonomicznej amerykańskiego zarządu wojskowego.

Gen. Draper jest wspólnikiem amerykańskiej firmy bankowej Dillon, Reed and Co, która przed wojną otworzyła kredyt dla I. G. Farben, przekraczający 250 tys. dolarów.

G. Timofiejew

Muza w pasiakach

(3)

W Guzen znajdował się duży odsetek inteligencji polskiej typu humanistycznego.

Dziennikarze: ś. p. Konstanty Ćwierk z Sosnowca był właściwie nestorem wszystkich piszących. Człowiek o głębiej duszy, pełen prostoty i pokory wobec losu, a zarazem głęboko wierzący chrześcijanin. Żył w obozie od pierwszych chwil, przeszedł najgorsze etapy. Los chciał, że nie doczekał się wolności. Na parę miesięcy przed wyzwoleniem skonał w szpitaliku obozowym sparaliżowany i cichy.

Poezja Ćwierka trochę dziennikarska, lecz w formie tradycjonalistyczna, prosta, o treści pełnej żarliwej wiary — spełniała dużą rolę w obozie. Można powiedzieć, że Ćwierk był bardem Guzen przez swoją dostępność, przez przeciętność wiersza nawet w sensie artystowskim. Najgłośniejsze utwory to: „Modlitwa więźniów", „Boga Rodzico, Matko karmiąca!", „Golgota", „Modlitwa Polaków", „Głód". Żywym wzruszeniem przejmują szczególnie strofy „Modlitwy więźniów".

Chroń nas niewolnych, Rodzicielko Boża,
od nagłej śmierci, od spalenia ciała.
od zejścia duszy na grzeszne bezdroża,
by po nas dobra pamięć pozostała!

— — — — — —

Spraw, by dzisiejszy dzień w spokoju minął,
by chłodna słota nas nie zabijała.
Ulecz co prędzej każdą pręgę siną
i każdą ranę na wychudłych ciałach.

Z reszty dziennikarzy udzielali się myślą i współżyciem towarzyskim Kazimierz Małyha z Bydgoszczy, Stanisław Nogaj z Katowic i Czesław Piskorski z Poznania. Nogaj pisał w obozie po cichu pamiętniki, z których część dziś publikuje. Piskorski zdradzał szerokie zainteresowanie humanistyczne i sposobił się do roli ideowego pisarza publicysty. Małyha, rasowy „wilk gazetowy", redagował dziennik na pierwszym bloku, tzn. wiązał i komentował słownie dostępne dla obozu wiadomości polityczne. Było już po drugim gongu na spanie. Izba cichła. Zwieszając głowy z barłogów słuchaliśmy szeptu, który otwierał przed nami świat i ścielił przed oczy wyobraźni mapy wojennych działań. Podobną rolę spełniał ludowiec, Jan Matczyński.

Szept może urastać do wyżyn patosu i oskarżenia. Tęsknotę uskrzydla muzyka.

Niemieccy zbrodniarze bałamucili się muzyką, toteż pozwolili więźniom założyć własną orkiestrę i nawet chór. W związku z tą dziedziną estetycznych, no i patriotycznych wzruszeń, urasta znaczenie Gracjana Guzińskiego i Lubomira Szopińskiego. Któż z nas w obozie Guzen nie pamięta Guzińskiego, popularnego „Jasia". Żadna uroczystość towarzyska czy narodowa, potajemnie i pod różnym pozorem obchodzona, nie obeszła się bez udziału Guzińskiego. Grał na akordeonie. Dziś to brzmi przeciętnie, zalatuje knajpą. Ale wtedy? Mój Boże! Wytrawne palce biegną po klawiszach: brzmią nuty, ulatują dźwięki. Sypią się drobne poleczki i zamaszyste kujawiaki. Gorącymi oddechami pól bije w twarz kujawiak. Łka i zanosi się od żalu polonez religijny. A już kiedy w nutę szarfą amarantu wplecie się Warszawianka — wstaje przed słuchaczami, wskrzeszona czarem dźwięku, geniuszem polskiej muzyki — wizja ziemi ojczystej.

Utracone obrazy i widoki szczęścia żyły i barwiły się na nowo. Muzyka była dla nas „cząstką ojczyzny". Mówiąc stylem Mickiewicza przenosiła „duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych"...

Guziński ułożył najpopularniejsze melodie Guzen: marsz Guzenowców do słów K. Ćwierka, muzykę do „Golgoty" tegoż Ćwierka i inne.

Najdłużej przetrwała strofa wolności i nadziei:

Już przebrzmiał grom
i świat swą zmienia twarz.
Ojcowski dom
na powrót czeka nasz.
Pójdziem w jasny dzień
z zasobem nowych sił,
więc żegnaj nam,
świecie kamiennych brył.

Z muzyką mieszało się słowo. Śpiewał chór. Lubomir Szopiński dyrygował. Chór? To osobna karta w dziejach Guzen, a również w moim życiu.

Jeszcze byłem „szczurem" obozowym, jedną nogą zawieruszony we wspomnieniach wolności i w dawnej twórczości, a drugą kroczący donikąd, jakby powiedział Leśmian. Dawność odchodziła w snach po nocach, pełnych koszmaru i udręki; trudnej nowości życia dopiero uczyłem się. Stanąłem niejako w sobie, w moim poglądzie na świat. W przeżyciach, w ciągłości wewnętrznej człowieka poczyniła się wyrwa, pauza.

Niewątpliwie, pod względem duchowym była to najtrudniejsza chwila w moim życiu. Gdzie lądować? Potrzebowałem nie tylko przyjaznej dłoni, trzeba było przywrócić mi wiarę w człowieka.

Wtedy zetknąłem się z Szopińskim.

Przyjaźń z Lubomirem ułatwiła mi pogodzenie się z losem, natchnęła wiarę i pod żebraczym łachmanem każdego jeńca odsłoniła ludzkie kształty. Zacząłem czuć, myśleć i wzruszać się pełniej. Serce, zeschłe na kamień, nasyciło się cierpieniem, łzami i wzruszeniem bliźnich. Zaczęło bić na nowo jak źródło, które nie może wyschnąć.

Początek temu procesowi dała przyjaźń z Szopińskim i pierwsze słuchanie chóru.

(d. c. n.)

800-lecie Moskwy



Żadne chyba inne miasto na świecie nie rozumie tak dobrze fanatycznego przywiązania do stolicy jej mieszkańców jak Warszawa. Żadne inne miasto z równym zapałem nie staje do odbudowy, jak Moskwa do rozbudowy.

Uroczystości 800-lecia stolicy ZSRR znalazły żywy oddźwięk w sercach całego narodu polskiego, a szczególniej w sercach mieszkańców Warszawy.

Moskwa na długo przed 1922 r., kiedy rząd radziecki przeniósł się z Leningradu, była faktyczną stolicą. Lud rosyjski zawsze czcił i kochał Moskwę, może najbardziej właśnie za jej głęboko narodowy charakter, gdy w nowym St. Petersburgu królowała cudzoziemszczyzna, Moskwa zawsze czuła się po rosyjsku i broniła języka i narodowego obyczaju. Napoleon zdawał sobie sprawę z jej moralnego znaczenia i dlatego podjął w 1812 roku tak ryzykowną wyprawę. Moskwę spalił, ale ten fakt właśnie stał się zwrotnym punktem kampanii, który przyniósł zwycięskim dotąd wojskom cesarza Francuzów bezprzykładną klęskę.

Moskwa szybko stała się centrum rosyjskiej kultury i oświaty. Równocześnie zaś ośrodkiem przemysłowym, promieniującym na cały kraj. Z Moskwą związane są dzieje rosyjskiej myśli postępowej i początek rewolucyjnych ruchów robotniczych.

Uznanie w 1922 r. Moskwy jako stolicy Związku Radzieckich Republik Socjalistycznych było tylko przypieczętowaniem faktycznego stanu rzeczy.

Moskwa rozrasta się szybko. Terytorium jej wynosi więcej niż dwukrotną powierzchnię miasta z 1913 r. Liczba mieszkańców przekracza cztery miliony, podczas gdy w roku 1917 wynosiła 1.700 tys. Zniknęły brudne przedmieścia, będące hańbą niemal wszystkich stolic świata. Do 1939 roku mieszkańcy stolicy radzieckiej otrzymali około 6 milionów m sześć. nowoczesnych pomieszczeń mieszkalnych.

Gmachy wyższych uczelni, muzeów, teatrów, a przede wszystkim duma moskwiczan — kolej podziemna, są przedmiotem podziwu urbanistów całego świata.

Wydajność przemysłowa Moskwy — jednego z największych ośrodków przemysłu maszynowego, samochodowego, elektrycznego i in., jest dwukrotnie wyższa od zdolności przemysłowej całej Rosji carskiej w roku 1913.

Odpowiedź — list

do mgr. fil. Albina Mazurkiewicza

Drogi Przyjacielu! Wreszcie odnalazłem Cię! Pigułka, którą mi dałeś do przełknięcia w 9 numerze „Wolnych Ludzi", była wprawdzie cierpka, ale świadomość, że żyjesz, że jest to przecież znak życia od Ciebie, ocukrzyła ją niebywale. Nie spełniła zamierzonego celu. Nikt nie jest w stanie zmienić mojego światopoglądu, który ostatecznie skrystalizował się w obozowym tyglu. Nikt, nawet Ty, którego przyjaźń cenię przede wszystkim za to, że umiesz patrzeć i myśleć. I dlatego Tobie jedynie odpowiem na Twój list otwarty.

Choć wiele już atramentu wylano na temat mojej książki „Sclavus saltans", nie odpowiadałem, nie starałem się nawet wytłumaczyć moich zamierzeń. Bo poco? I komu? Tym, którzy nie byli z nami, którzy obozy znają tylko z opowiadań? Lub tym, którzy nas i tak nie rozumieli, którzy świat poznawali jedynie przez pryzmat swojego podwórka? Tobie muszę odpowiedzieć, bo przeżyłeś zwielokrotnione piekło, aby doczekać pogody i piękna, do którego wtedy tęskniłeś w nieświadomej ekstazie.

I to właśnie muszę Ci przypomnieć.

Zacznę jednak od początku... „Sclavusa" napisałem właśnie jako pamiątkowy szkic, bez zamiaru publikowania go. Dopiero grupa kolegów z obozów skłoniła mnie do wydania książkowego. Wiedziałem, że książka spotka się z opozycją, bo świat obozowy malowany był w niej tęczą, a ta nie zawiera — jak wiadomo — barwy czarnej. Chciałem dołączyć komentarze — odradzili mi, twierdząc, że książka jest dla tych, którzy poznali smak obozów, a ci, którzy ich nie poznali, nie mają prawa w ogóle zabierać głosu.

Znasz mnie. Wiesz, że pasjonują mnie eksperymenty. Wsadziłem przeto przysłowiowy kij w mrowisko.

Jak było do przewidzenia, zabrali głos przede wszystkim ci, których między nami nie było. Na szpaltach pism zaroiło się od określeń o „apologii obozów", o „życiu uproszczonym" i o „braku wyczucia realizmu". Nie brakło wprawdzie również zapamiętałych obrońców, którzy pisali o „życiu zwycięskim nawet w obozie". Ale tych było mniej.

Nie odpowiadałem ani jednym, ani drugim. Tym pierwszym również dlatego, że nigdy nie miałem nadmiaru żółci.

Ale teraz napisałeś Ty.

Dlatego odpisuję.

Odpisuję dlatego jeszcze, że przez pismo nasze, pismo „koncentracjonerów", trafiam jednocześnie do tych przyjaciół i kolegów, którzy razem z nami zmartwychwstali. Chcę, żebyście zrewidowali swoje minione marzenia i wizje, chcę, żebyście przyznali, że były podobne do moich, choć może w innej formie. Więc chciałbym przede wszystkim „przewekslować" Wasze podejście do mojej książki. Nie mogę Wam oszczędzić przykrej uwagi: nie wolno oceniać żadnej książki bez przeczytania „przedmowy autora". Gdybyście zadali sobie trud zaznajomienia się ze stronami „wstępu", wiele rzeczy stało by się jasne, wielu nieporozumień dało by się uniknąć. Znaleźli byście może szyfr do „Sclavusa": „... o koszmarze pisali już liczni. ...moim jedynym celem było zebrać tę garść zieleni, która krzewiła się mimo wszystko na śmietnisku życia" — pisałem we wstępie.

Tak, to był mój jedyny cel. Abstrahować całkowicie od zagadnienia koszmaru, który przebijać musiał wbrew wysiłkom między wierszami książki — negować cyniczne zło, jako produkt kaźni — znaleźć natomiast te elementy i ośrodki, gdzie nawet najdzikszych SS-manów obowiązywał zakaz: „Eintritt verboten". To zaczarowane miejsce, to był nasz świat myśli, marzeń i wizji.

Albin! Ja nie zawaham się tu stwierdzić ponad wszelką wątpliwość: to było to, co pozwoliło nam przetrwać.

Dlatego poszczególne rozdziały mojej książki nie są bynajmniej rozrywkową lekturą dla przeciętnego czytelnika. To są obrazy — niejednokrotnie przesadzone, lub specjalnie stonowane — ale obrazy, które każdy z nas miał, lub które pragnął mieć przed oczyma.

Któż nie przeżywał w wyobraźni bajek, popychając mozolnie taczki z piachem? Któż z nas nie stał się bohaterem rozhuśtanej fantazji — bohaterem baśni w rodzaju „Stoliczku! Nakryj się", gdy smak głodu dusił już ostatnią iskrę życia?

Albin! Ty nie wiedziałeś może, że ja w Hamburg - Neuengamme i w Bremen poznałem smak głodu — że sześciokrotnie przechodziłem makabryczną epopeję „zuganga" — że na Szucha zmasakrowano mnie, że uniknąłem cudem lufy gestapowca, że w Oświęcimiu należałem do grupy SK z czerwonym punktem... i nigdy nie zatraciłem tej wewnętrznej radości życia, która pozwoliła mi wytrwać.

Wiesz sam najlepiej, że za pomoc lekarską nigdy w obozie nic nie brałem — jakże iluzoryczna zresztą mogła być ta pomoc w obozowych warunkach? — znajdowałem jednak zawsze pomoc od ludzi, których zarażałem moją pogodą i — jak to sam nazywasz — humorem. Dlatego, rzeczywiście chleba miałem poddostatkiem. I przyznasz chyba, że nie jadłem go sam.

Wróćmy jednak do tematu. O egzekucjach przed oknami naszego baraku i o trzasku eMPi nie pisałem. Dlaczego? Dlatego, że najłatwiej było pisać to, z czym się zapoznało pięć naszych zmysłów bezpośrednio; a więc i „o tych durchfallach i o tysiącach, ginących we własnym gnoju".

Ale było jeszcze grono ludzi, którzy już wtedy potrafili przeprowadzić rzeczywistość przez pasaże własnych myśli i marzeń.

I do tych ludzi należałeś również Ty!

To nie tytuł magistra filozofji, ani doświadczenia życiowe uchroniły Cię od psychicznej zapaści. To przewartościowanie potęgi zła przez pryzmat osobistego wyczucia pogody i piękna uratowały Cię od stanu, groźniejszego niż śmierć.

Umiałeś patrzeć — miałeś swój pryzmat.

I ja go miałem.

A że przez pryzmat rozszczepiają się promienie kolorami tęczy, więc i w książce mojej nie mogłeś doszukać się czarnych tonów.

Któż by ich zresztą szukał wtedy w świecie osobistych marzeń i wizji?

Któż wierzył (choć głośno wypowiadał) w tragiczny swój koniec?

Czy płakał kto na widok sterty poplątanych ciał?...

Nie.

Bo poza koszmarnym obrazem znajdował się świat złudny, świat zapomnienia i abstrakcji. Sportowcy grali w piłkę nożną, która dawała im złudzenie meczów na wolności, oklaski publiczności przypominały muzykom i śpiewakom utracone wczoraj, może również — będzie to chyba bardzo odważne twierdzenie — niektórzy blokowi w swoim postępowaniu dawali wypaczone ujście niewyżytym zdolnościom wojskowym...

Przecież żaden mały człowieczek nie pragnął by dobrowolnie wyjść poza nawias ludzkości. I wtedy znaleźliśmy nawet modus vivendi. Pamiętasz dyskusje nasze pełne filozoficznych fantazji? Ile one dawały nam radości? Jak potrafiliśmy zaszczepiać tematy grupkom i grupom? Jak się one świetnie przyjmowały? Jak rozkwitały? Ilu drętwiejących wyrwaliśmy ze strasznego snu?...

I Ty, Przyjacielu, masz do mnie żal, że w książce mojej nie delektuję się zbrodnią i koszmarem?

Tego się po mnie spodziewać nie mogłeś. O koszmarach obozowych możesz przeczytać sto innych książek.

Ja zapominam rzeczywiście o okrucieństwie minionych lat — bo chcę zapomnieć.

I Wy wszyscy, Koledzy, winniście również porzucić koszmarny balast. Nie ma się czym delektować. Czas, żebyśmy przestali być uciążliwymi pasażerami z odrażającym bagażem. Między sobą i tak się zrozumiemy, a pocóż w nasz świat wprowadzać otoczenie kosztem niepokoju i uczucia niesmaku?

Twierdzisz Przyjacielu, że książka moja może stać się atutem w rękach obrońców Niemców? Nieprawda! Dla sądu istnieją tylko fakty. Przypomnę Ci, że Bortnowskiej nie pomogła książka Szwedki, nazywająca ją „jasnym aniołem opiekuńczym". I Niemcy nie znajdą dla siebie obrony w książce, która apoteozuje żywotność Polaków w obozach, ich niepowstrzymany pęd do wolności, ich zwycięski krzyk — choć by to był już ostatni krzyk człowieka. Nie znajdą obrony w pamiętniku — jak piszesz — „szczęściarza, który dawno powinien był wisieć, a w najlepszym razie być rozstrzelanym, tymczasem ten „wściekły pies" w dalszym ciągu psuł SS-manom krew i wszystko się udawało".

Piszesz również: „...miałeś częste zatargi z SS-manami i zawsze udawało ci się wyjść cało. Najwyżej bunkier, ale innego na pewno by wykończyli". Rozmawialiśmy wtedy na ten temat. To nie była nonszalancja, czy donkichoteria — to była metoda. I między innymi przykładowe argumentowanie wobec kolegów, że wielkie zło, w jakie zostaliśmy wtrąceni, nie jest nie do pokonania.

Piszesz jeszcze: „Ty nawet tyle miałeś szczęścia, że pozwolili Ci widzieć się z żoną". Kto pozwolił? Goeth? Czy może Eckert? Takiego pozwolenia nie było. To także zdolność zarażania otoczenia bakcylem pogody i fantazji. Żona moja, żyjąca w doskonałej symbozie z tym bakcylem, przeszmuglowała się nielegalnie do obozu w karetce Czerwonego Krzyża, a po widzeniu się ze mną na tyłach „blockfuehrerstuby" wyszła uśmiechnięta przez bramę za podrobioną przepustką. To była nie tylko „organizacja" i szczęście.

Ale może Ty masz rację. Może słuszność jest po stronie tych, którzy rzucali we mnie gromy za słowa, że „nie żałuję tych lat, pozornie straconych?"

Chociaż, naprawdę nie żal mi ich. Ludzie byli wtedy wrażliwi na piękno, które było tak nieosiągalne — reagowali na słowo, na dyskusje, poświęcając im drogocenny sen — ignorowali wartości materialne...

A dziś?...

Sprobuj dziś zorganizować grupę ludzi, podejmujących z Tobą z podobnym entuzjazmem dyskusje na filozoficzne tematy...

Sprobuj stworzyć atmosferę oderwania od rzeczy przyziemnych w krąg śmiałych fantazji...

Obawiam się, że nawet nasi dawni słuchacze zamienili się już obecnie w „nawykowych" zjadaczy chleba i czcicieli pieczeni w wiecznej gonitwie za stabilizacją egzystencji.

A reasumując moje wywody, chciał bym Ci przypomnieć jeszcze, że „cierpienie jest elementem twórczym". Stąd moja wyczuwalna przychylność dla epoki, wiejąca z kart „Sclavusa".

Ale niektórzy poplątali pojęcie „cierpienie" z pojęciem „kat" i... w mrowisku zawrzało.

Ściskam Cię serdecznie — szczerze oddany

St. Jagielski
b. więzień Pawiaka, Oświęcim — Birkenau, Hamburg — Neuengamme, Bremen — Farge, Płaszowa, Gross-Rosen, Hersbruck - Flossenburg.

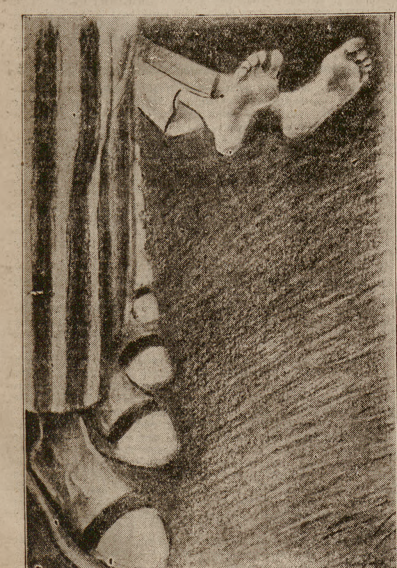
ST. WYGODZKI

Profil

Żem w takim żył wieku, żem w takich żył czasach
nikomu dziękować, nikomu być wdzięcznym.
I cement dźwigałem i kłody po lasach
i płuca straciłem, a oddech mnie męczy.

I bliskich straciłem i siebie otrułem
i ręką zabójcy pisałem te strofy,
lecz z wierszy i z tego co boli i czułem
wyrasta nie tylko mój profil.

Na apelu



Rys. J. Brandhuber

ST. WYGODZKI

Do przyszłego

Ja nie zabrałem twarzy głębinie,
ja nie ukradłem twarzy mej lustrom.
Jest na Brzezinkach spalona ustroń
i twarz zabrałem zmarłej dziewczynie.

Żywcem spalonym zabrałem jęki,
zagazowanym ukradłem śpiewy.
Ty, co mnie wołasz, pójdę do siewu
stopą potworną skutą obrzękiem.

„Przez pracę do wolności"

Ze zbiorów Wydz. Muzeów i Pomników Martyrologii Polskiej.

BUBI
(Historia prawdziwa)

W związku z „Tygodniem Majdanka" podajemy prawdziwą historię młodocianego kata obozu „Bubi'ego". Fragment ten był drukowany w ub. roku w „Nowej Epoce".

Bubi miał lat 10. Miał wielkie, czarne, marzące oczy, prosty, zgrabny nosek i śniadą cerę.

— Śliczne dziecko — mówiła zawsze matka — a jakie zdolne.

W roku 1941 Bubi stracił matkę i rodzeństwo w Treblince, gdzie przyjechali wszyscy razem z rodzinnego Kutna. Ojciec zaginął w tym czasie bez śladu.

Bubi pozostał teraz sam i sam zaczął decydować, jak człowiek dorosły, o swoim losie. Tuż prawie z kamery śmierci wyrwał go esman Kopanek. Bubi stał wtedy przerażony na boku tuż przy wejściu, nie wiedząc gdzie się podziała matka z dwojgiem młodszych dzieci.

Kopanek wziął go za rękę i cichym, łagodnym głosem powiedział tylko parę słów:

— Komm hier.

I Bubi poszedł. Zatrzymali się razem z przygodnym opiekunem w domu esmańskim. Bubi dostał tam kawałek chleba ze szmalcem i parę cukierków.

Panowie w mundurach niemieckich śmieli się czegoś bardzo i oglądali go na wszystkie boki.

Bubi nie potrafił się już wtedy śmiać po niedawnych przejściach i zresztą nie nauczył się śmiać już nigdy.

Na Majdanek przyjechali również razem. Razem przez parę dni mieszkali w barakach esmańskich. Tu go trochę esmani bili, wysługując się przy każdej sposobności, kazali czyścić buty i spodnie, zamiatać pokoje. Bubi czuł jednak, że go wszyscy lubią.

Pewnego dnia esman Kopanek zniknął z życia Bubiego zupełnie niespodziewanie. Koledzy jego mówili, że pojechał na front, bo był za miękki.

I Bubi zaczął od tej pory niewiedzieć czemu bać się tego frontu, jak czegoś nieznanego i strasznego, tak strasznego prawie, jak ciemny, nieznany pokój w obcym mieszkaniu.

Po wyjeździe Hansa — bo Kopanek nazywał się Hans — Bubi pozostał sam, lecz nie na długo. Pewnego dnia jeden z esmanów wziął go za rękę i zaprowadził do lagru, oddając pod opiekę „lagereltestera".

Bubi teraz po raz pierwszy w życiu zobaczył z bliska lager. Czuł też, że pozostanie tu do końca życia, do jakiegoś niezrozumiałego momentu, w którym się wszystko skończy.

Obóz w Majdanku mieścił się na sześciu oddzielonych od siebie drutami, placach, zwanych polami. Bubi był na trzecim polu.

Bokami biegły tu zamieszkałe przez ludzi wielkie baraki końskie. W głębi stała kuchnia. Koło bramy dwa baraki z oknami dla dygnitarzy lagrowych oraz jeden mieszczący składy. Za drutami, koło bramy wejściowej znajdował się barak esmański t. zw. „blockführerstuba".

Na środku pola paliła się wieczorami czerwona lampa, znak, że nie wolno wychodzić na plac. W okresie, kiedy Bubi przybył na Majdanek, prądu jeszcze w drutach nie było. Druty za to biegły czterema rządami, poprzedzone t. zw. „polem śmierci". Zaraz za ogrodzeniem stały co 25 metrów zwyżki strażnicze, na których siedzieli esmanie, Ukraińcy lub Litwini z karabinami maszynowymi.

Lager — to było bardzo wesołe miejsce. Ludzie chodzili tu okropnie śmiesznie ubrani w pasiaste ubrania i komiczne krymki bez daszków. Inni mieli wspaniałe stroje cywilne, ozdobione czerwonymi, olejnymi pasami na spodniach i literami KL na plecach. Wszyscy ciągle biegali i można było wspaniale straszyć ich ogromnym kijem, który Bubi zaraz z miejsca otrzymał w podarunku od „lagereltestera".

Ci ludzie w pasach i śmiesznych kostiumach z czerwonymi kreskami byli najwyraźniej poto, żeby Bubi mógł się z nimi bawić.

Tylko nieliczni blokowi, kapowie, lagerkapo i lagerelteste byli ludźmi dorosłymi, z którymi należało się liczyć. Trzeba się ich było przy tym bać okropnie, co ich rozweselało.

Bubiego bili rzadko. Wieczorami zato wszyscy niemal po kolei pieścili go bardzo i brali na noc do siebie do łóżka. Kłócili się nawet o to, z którym Bubi ma spać. Bubi nie lubił tych karesów, bo wszyscy jego przyjaciele kłuli nieprzyjemnie brodami, gdy go całowali — i pieścili go jakoś dziwnie.

Bubi zaprzyjaźnił się najwięcej z z „lagerkapą". Był to wysoki młody Niemiec, elegancki i pachnący prześlicznie perfumami, takimi, jakich używała matka Bubiego.

Lagerkapo nosił wysokie, oficerskie buty, jasne bryczesy i granatową kurtkę z czarną bindą na ramieniu.

Bubi zazdrościł mu okropnie tego stroju, lecz kiedy się obudził pewnego dnia, jeszcze rozespany po męczącej nocy, spostrzegł leżący na stołku tuż koło łóżka cały taki sam komplet. A więc były tam długie oficerskie, malutkie buty, bryczesy, granatowa kurtka ze stosowanym, napoleońskim kołnierzem i wspaniały, wielki pejcz, taki sam, jaki nosili esmanie i kapowie. Na rękawie czerniła się szeroka, czarna binda z napisem: „Lagerelteste II".

W tym dniu chłopiec został dygnitarzem lagrowym.

Podczas wieczornego apelu Bubi wraz z „Lagerkapo" i „Lagereltesterem I" ruszyli całą grupą przed zgromadzone koło baraków szeregi śmiesznie kiwających się na boki ludzi.

Było okropne błoto. Trzeba było zręcznie przeskakiwać z kamienia na kamień, by nie powalać błyszczących wspaniałych butów.

W pewnej chwili, gdy Bubi stanął na jakiejś nierównej cegle, któryś ze stojących z brzegu więźniów kaszlnął. Chłopiec spojrzał w bok i straciwszy równowagę, runął jak długi w sam środek rzadkiej, śmierdzącej mazi. „Lagerälteste", „Lagerkapo" i wszyscy blokowi wybuchnęli śmiechem.

Chłopiec wściekły porwał się na równe nogi i z całej siły uderzył pejczem w twarz stojącego nieruchomo więźnia.

„Lagerkapo" mrugnął okiem na towarzyszy i rzucił po niemiecku: „Brawo Bubi — jeszcze go raz".

I chłopiec zaczął z pasją z całej siły bić. Bił po głowie, pochylonych starczych ramionach, po plecach.

Odrutowany na końcu pejcz żłobił krwawe ślady na twarzy i rękach bitego. Człowiek zaczął teraz krzyczeć prosząco ohydnym, ochrypłym głosem, a dzieciak, podniecony do najwyższego stopnia, walił dalej w zapamiętaniu, aż do ostatniego zmęczenia.

Tego wieczoru Bubi dostał na kolację wielki kawał kiełbasy obozowej, szklankę wódki i całą paczkę, która przyszła dla jakiegoś więźnia z domu. W paczce oprócz białych bułek i tłuszczu, znajdował się wspaniały, nadziewany rodzynkami placek, cukierki w różowym pudełeczku, przewiązanym wstążeczką. W środku leżała wypisana dziecinnym pismem kartka z napisem: „Dla tatusia — od Irusi".

Raportführer, młody, przystojny esman, który wręczył mu paczkę, powiedział: „Jeżeli będziesz zawsze takim dzielnym i nieustępliwym chłopcem, dostaniesz codzień dużo dobrych rzeczy, a od czasu do czasu taką samą paczkę".

Bubi wiedział, że do obozów przychodzą często dla więźniów gdzieś z daleka — podobne pakunki. Widywał często, jak zawartość ich dzielili między siebie najpierw esmani, a potem dygnitarze lagrowi — więźniowie.

Kiedy przypomniał sobie obrzydliwy głos bitego człowieka, jego przerażone zwierzęco oczy i brudną twarz, zakipiała w nim na nowo straszna nienawiść.

Nie tak łatwo mógł zarobić codziennie podobne cudo.

Nauka nie poszła w las. Od tego czasu chłopiec codziennie asystował przy apelach. Sam wywoływał więźniów z szeregu, przeprowadzał osobiste rewizje, a znalazłszy jakiś zakazany przedmiot, jak nożyk, szmatę, lub kilka (więcej, niż dzienna porcja) kawałków chleba — bił.

Lubił coraz więcej bić i nauczył się bić umiejętnie.

Wiedział już, że człowiek uderzony kijem w prawą stronę brzucha, tuż pod żebrami, musi się schylić, że można go w tej pozycji rozłożyć plackiem na ziemi — silnym razem w kark, lub plecy. Wiedział, że kopnięty między nogi, zwinie się z kwikiem w kłębek i będzie zawodził cienko, piskliwie, albo nawet zemdleje. Potrafił już uderzyć w wypięty pośladek długim pociągnięciem pejcza, które rozcinało skórę i spodnie zarazem, lub uderzeniem ciężkiej pałki w czułe miejsce tuż nad krzyżem sparaliżować zupełnie ruchy bitego.

Wkrótce też „Lagerkapo" zaczął go zabierać ze sobą na wizytację baraków. Chodzili zwykle razem we trójkę z blokowym Weberem z 14-stki.

Sprawdzali wówczas porządek w łóżkach, zaglądali do kątów, wyszukując szmaty i poukrywane resztki ubrań. W zimie tych rzeczy wyrzucano z baraków coniemiara.

Znajdowano tam również puste, papierowe worki od cementu, które więźniowie podczas mrozów kładli sobie pod ubranie, by zyskać trochę ciepła. Tak wystrojonych więźniów Bubi umiał wyszukiwać wśród najgęstszego tłoku.

Chłopak stawał przy tej czynności zawsze przy bramie, gdy komanda powracały z pracy i obserwował uważnie idących. Noszący pod ubraniem papier mieli na piersiach charakterystycznie sfałdowane kurtki i za każdym ruchem rąk szeleścili papierem.

Przestępcę sam Bubi bez niczyjej pomocy wyciągał z szeregu i kazał mu się rozbierać do naga. Zdzieliwszy go parę razy pejczem po gołym ciele, zabierał ubranie do mieszkania „Lagerkapo", gdzie więzień musiał je następnie odebrać sam, po przepisowej porcji kijów.

Zabawnie wyglądał taki nagi, różowy człowiek, stojący na mrozie. Trząsł się jak galareta i dzwonił zębami. Bubi bardzo lubił taką pracę.

Mimo nieprzyjemnych karesów dygnitarzy obozowych i dużej ilości wódki, do picia której zmuszano go prawie codzień, chłopak urósł, zmężniał i poprawił się w krótkim czasie.

I Bubi byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby nie jakiś dziwny, nieuświadomiony niepokój. Bał się czegoś nocami. Często budził się z krzykiem i uciekał przed barak.

Nikt go w obozie nie bił, wszyscy go rozpieszczali, a jednak dzieciak ulegał co pewien czas niewytłomaczonym atakom lęku.

Nadeszła wreszcie ciężka, mroźna zima roku 1942 — 1943. W obozie wybuchnęła epidemia tyfusu plamistego i czerwonki. Więźniowie marli, jak muchy, padając przy apelu, podczas pracy, mrąc podczas snu. Codziennie kogoś brakowało podczas apelu. Codziennie szukano zaginionych po kątach, pod pryczami, w ustępach. Jedni upadali na ziemię ze zmęczenia i tonęli w błocie, nie mając siły podnieść do góry umęczonych głów, inni, nie mogąc ustać siadali na ziemi i ginęli pod razami kijów.

Codziennie rano na III polu z bloków, w których zamieszkiwało po 300 do 400 osób, wynoszono po 50 — 60 trupów. Koło nich układano dogorywujących, którzy już stać o własnych siłach nie mogli, dalej siadali i stawali w błocie silniejsi chorzy, a wreszcie dalej jeszcze stawali zdrowi więźniowie.

Podczas jednego z niedzielnych apelów Bubi został wezwany przez zastępcę lagerkomendanta Thumana. Stanęli przed nim wyprężeni, trzymając czapki w rękach—on i lagerkapo.

Niemiec przyglądał się najpierw małemu długo i badawczo. Miał okropnie nieprzyjemne szare oczy, którymi zdawało się, że przewierca Bubiego na wylot. Potem wskazał na Bubiego głową i zapytał:

— Jude —

Stojący obok esman przytwierdził.

— Jawohl — powiedział wówczas komendant i odszedł.

Bubi tego dnia otrzymał z rąk lagerkapo młotek osadzony na długim trzonku i nową funkcję.

Napis na bindzie Bubiego brzmiał: „Lagerjungste".

Co rano, po zakończonym apelu, miał on obchodzić leżących na śniegu zmarłych. Najpierw próbował nogą, czy się jeszcze który nie rusza, a potem, gdy więzień zdradzał jeszcze oznaki życia, dobijał go uderzeniem młotka w czaszkę.

Była to robota zabawna i łatwa. Wystarczało przeważnie jedno niezbyt mocne uderzenie młotka, a najwyżej trzy.

Aż raz... Było to w początkach stycznia 1943 roku. Bubi jak zwykle spełniał swą funkcje spokojnie i sumiennie... Z bloku, na który dnia poprzedniego przybył zugang Żydów z Kalisza, wyniesiono 30 nieruchomych ciał.

Przed chwilą sztubowi ściągnęli z leżących ubranie. Z brzegu pozostał tylko nawpół rozebrany stary człowiek z nieogoloną twarzą.

Żył widać jeszcze, bo ostatnim wysiłkiem starał się wciągnąć na gołe ciało na pół osunięte spodnie.

Bubi podszedł do niego szybkim krokiem. Ten był do zrobienia. Zamierzył się młotkiem.

I nagle — umierający otworzył oczy. Odmalowała się w nich jakaś niewytłumaczona rozpaczliwa zgroza.

Usta otworzyły się i Bubi usłyszał tylko trzy słowa:

— Synku, mały... syneczku —

Chłopak zamknął oczy i uderzył mocno, pewnie, jak zawsze trzy razy.

Bubi zginął podczas słynnej masakry wszystkich Żydów na Majdanku w listopadzie 1943 roku.

A. K.

Nasza odpowiedź

Do czego prowadzi amerykańsko-angielskie porozumienie w sprawie

odbudowy Niemiec — tego dowodem odgłosy prasy niemieckiej, zachłystującej się w peanach na rzecz pobratymców anglosaskich. My innymi zgoła oczyma, realnie oceniając nowowytworzoną sytuację spoglądamy na rzeczywistość. Dał temu wyraz minister Minc podczas obrad III Zjazdu Przemysłowego Ziem Odzyskanych w Szczecinie. W obszernym przemówieniu podkreślił min. Minc, że plan zachodni odbudowy przemysłowej Niemiec jest planem odbudowy, opartym na starej bazie ekonomiczno-społecznej, prowadzącej do rozwoju agresji. Dlatego Rząd Polski nie mógł się wprzęgnąć w t. zw. Plan Marshalla.

Naszą odpowiedzią na plany odbudowy Niemiec — to wzmożenie tempa odbudowy naszej gospodarki narodowej, by nie dać się ubiec innym w wyścigu gospodarczym. Na czoło wysuwają się tu Ziemie Odzyskane, którym Rząd poświęca szczególną uwagę.

Wojciech Rawicz

„Żaby" lecą

Okres Powstania Warszawskiego był jednocześnie okresem nasilenia zrzutów broni dla polskiego Ruchu Oporu, zrzutów przeprowadzanych bądź przez lotnictwo alianckich mocarstw zachodnich, bądź też przez lotnictwo radzieckie.

Prawie codziennie w ramach audycji dla kraju, spokojny głos speakera, siedzącego w zacisznym studio londyńskiego radio, podawał szyfrem, znanym tylko jednostkom, miejsca zrzutów.

Ktoś nieświadomy słysząc po szeregu komunikatów, cyfr i imion melodię jakiejś piosenki regionalnej, jaką zwykle nadawano na zakończenie dziennika, nie zdawał sobie sprawy, że to wszystko miało ze sobą związek, że śpiewana tyle razy w domu piosenką, jest ważnym punktem audycji dla żołnierza siedzącego gdzieś w ukryciu przy aparacie odbiorczym.

Zwykle po takiej audycji szły do miejscowych komend opracowane meldunki, częstokroć jeszcze raz zaszyfrowane dla bezpieczeństwa i w terenie zaczynał się ruch.

Gońcy wozili rozkazy, zawiadamiano ludzi, rozdawano broń i opatrunki. Jeżeli zanosiło się na coś większego, ściągano w pobliże tzw. lotniska, tj. pola, na którym miał odbyć się zrzut, oddziały leśne. Prawie zawsze w odbieraniu zrzutów brały udział oddziały dywersyjne, najlepiej uzbrojone i najlepiej zdyscyplinowane. Do akcji tego rodzaju trzeba było dobierać ludzi pewnych, silnych nerwowo, bo i akcje nie były łatwe.

W pierwszych dniach, a nawet tygodniach Powstania, szczególnie dużo zrzutów odebrały obwody podwarszawskie, przygotowane do natychmiastowego wyjścia w pole. Poza tym wiele broni było przeznaczone dla walczącej stolicy, nad którą zrzuty z powodu małego terenu i silnej niemieckiej obrony przeciwlotniczej nie udawały się nigdy w stu procentach.

Broń przejęta przez oddziały podstołeczne, wędrowała natychmiast do puszczy Kampinoskiej, lub też do lasów Kabackich, skąd specjalne grupy przerzucały ją do walczącego miasta.

Pierwsze sierpniowe zrzuty w rejonie Milanówek—Grodzisk odbyły się w całkowitym spokoju i bezpieczeństwie. Niemcy ogarnięci paniką odwrotu, zniknęli całkowicie z tego terenu, lokując się dopiero w rejonie Żyrardowa i Sochaczewa. Mijały dni a w miastach nie widziało się w ogóle okupantów. Ulicami osiedli podwarszawskich ciągnęły jedynie ładowne wozy eskortowane przez młodych ludzi, którym często spod kurtek czy płaszczy wystawały lufy automatów.

Dopiero pod koniec sierpnia odbiór zrzutów stał się ciężkim zadaniem. W terenie zaczęły się kręcić silne oddziały żandarmerii, SS i własowców. Podziemie, które mniej czy więcej rozpoczęło jawną akcję, teraz znowu musiało się zakonspirować.

Jednocześnie wzrosło nasilenie zrzutów. Akcje udające się dotąd wspaniale, teraz, na skutek różnego rodzaju przeszkód, zaczęły kuleć, chociaż strat własnych było bardzo mało.

Zrzut, który omal nie wpadł w całości w ręce Niemców, odbył się w drugiej połowie sierpnia.

Noc była pogodna. Księżyc jak na złość świecił jasno. Na kilkaset metrów widać było sylwetki ludzi. W taką to niezbyt sprzyjającą pogodę wypadało przyjąć 32 plutonowi kawalerii zmotoryzowanej por. Sokulicza, ładunek broni przeznaczony dla oddziałów z Kampinosa. Pluton wzmocniony przez grupę wypadową dywersji i oddziałek pogotowia bojowego egzekutywy pchor. R., wyruszył z Milanówka około godz. 21. Do lotniska było ok. 10 kilometrów.

Na miejscu po wystawieniu posterunków i grup do odebrania „żab", zapadła cisza.

Minuty wlokły się wolno, gdzieś na ściernisku cykały świerszcze. Nie zwiezione kopy zboża rzucały cienie na żołnierzy z tzw. obstawy.

Dochodziła północ. Daleko na zachodzie rozległ się szum motorów. Potężne maszyny szły na wysokim pułapie. Za chwilę były już nad polem.

Z dołu z grupy karłowatych sosenek błysnęło światełko elektrycznej latarki.

Jedna z maszyn widoczna na jasnym tle nieba odpowiedziała tym samym znakiem.

A więc swoi! Anglicy, Kanadyjczycy, czy może nasi? Może właśnie jakiś brat lotnik przyleciał tutaj nad swój kraj

Jednak nie czas na rozmyślania. Maszyny jedne za drugą schodzą niżej. Jeden wiraż, drugi i... lecą „żaby"... słychać szepty z kop zboża.

— Lecą!

Na tle nieba widać kołyszące się wielkie parasole spadochronów z ciężkimi ładunkami. Lecą, są coraz niżej!

A tam pod niebem grają jeszcze potężne motory, samoloty kładą się w precyzyjnych wirażach i nowe ładunki lecą znowu.

— Zrzutki, zrzutki! — Tak, teraz skaczą ludzie... Jest cisza tak przenikliwa, że słychać klaśnięcia otwierających się spadochronów.

Pierwsze „żaby" lądują. Spadochrony kładą się na ziemi, ciągną ciężkie bębny. Żołnierze przyskakują, przytrzymują, odcinają linki i składają miękki jedwab. Za chwilę lądują ludzie. Cichy gwizd i widać jak zbierają się w grupę. Błyskają w ich dłoniach automaty, a w zębach długie sztylety komandosów. Biegną z gotowymi do strzału pistoletami. Okrzyk, hasło i odzew... już są razem.

Wszyscy Polacy, oficerowie dywersji, wyszkoleni minerzy i pirotechnicy, radioci, jednym słowem skarb dla Ruchu Oporu.

W międzyczasie żołnierze rozładowują „żaby". Śmieją się oczy. Piękna broń maszynowa, niemieckie maszynki typu „Bergmann 43", zdobyte w Normandii, amerykańskie „Thompsony", „Piaty", „Stény", „Błyskawice", granaty, amunicja. Moc amunicji.

Ładowanie na wozy idzie szybko. Trzeba natychmiast opuścić pole. Ubezpieczony tabor wycofuje się w stronę lasu.

Nagle, gdy pierwsze sosny zakrywają już wozy, na placówce ubezpieczającej pole zrzutowe od strony Grodziska, wybucha strzelanina. Automaty zawodzą jękliwą pieśń. Walka przybiera na sile. Jakiś silny oddział odpowiada ogniem broni maszynowej.

Dowódca wydaje szybkie rozkazy. Ubezpieczenie ostrzeliwując się silnie, wycofuje się w stronę lasu.

Tutaj na skraju w gęstych krzewach jałowca czeka już na nieprzyjaciela oddział pogotowia bojowego uzbrojony po zęby.

Zaczyna świtać. Z daleka widać nadciągających Niemców. Idą wolno gotowi w każdej chwili do walki. Są już blisko, na odległość rzutu granatu, lecz las milczy, nie drgnie nawet żadna gałązka.

Niemców cisza ta denerwuje. Posyłają więc w las kilka serii, kalecząc pnie sosen. Odpowiedzi jednak nie ma...

Dopiero gdy żandarmi pewni już są całości swej skóry i ruszają dalej, w krzewach jałowca rozśpiewał się cekaem i zagrały autowaty. W jednej chwili w grupie żandarmów wybucha panika. — Zarück, zurück!!...

Zdziesiątkowani rzucają karabiny, chlebaki i hełmy. Uciekają w popłochu. A leśne karabiny grają...

Dochodziła godzina 9 rano, gdy przez Milanówek ciągnęło znowu kilka ciężko ładownych wozów. Ulice zwykle puste teraz zapełniły się młodymi ludźmi, którym niby na urągowisko Niemcom wystawały spod płaszczy lufy automatów.

Ewa Śliwińska

Dwa miesiące w bezludnej Warszawie

(Ciąg dalszy)

Co robić? Idziemy do magazynu, w którym złożone są rzeczy pracowników R.G.O., przeznaczone na wywiezienie z Warszawy. Pod zamkniętymi drzwiami kłębią się ludzie, awanturują się o swój szaber, o swoje wory; histeryczne szlochy jakiejś kobiety, ryki mężczyzn, marionetkowe ruchy ogłupiałego magazyniera. . Ponieważ Niemcy rewidowali poprzedniego dnia bagaż i zabrali moc rzeczy, zabieramy z magazynu zagrożoną paczkę i wracamy do biblioteki, krztusząc się w gorzkiej spaleniźnie, czując pod nogami gorący bruk.

W bibliotece, w kuchni rozkwita namiętność do przywiezionego z R.G.O., a tak dawno niewidzianego mięsa — ah, cóż to z niego będzie? A jednocześnie na dachu fantastyczny widok palącego się miasta. Za czarną koronką kominów przewalają się fale czerwonych płomieni, różowych, rdzawych, i szarawych dymów, przesłaniających całkowicie księżycową poświatę. Wicher hula z kaskadą iskier, migotliwe płomienie biegną po belkach, niczym po trampolinach, a z jakiegoś okna wznosi się wściekły, amarantowy płomień, jak primabalerina w wielkiej scenerii pożaru. Scenę zamykają pobliskie domy, zawieszone tajemniczo w szarej kurzawie przy akompaniamencie walących się futryn, podłóg i stropów, — accolerando, forte, fortissime.

Wreszcie gotowa kolacja — mięso, wódka — tak, tak — i znowu wieczorem inspekcja dachu, a potem kabała, usiłująca wyprostować wiszący nad nami znak zapytania w radosny wykrzyknik.

W nocy budzą mnie jakieś głosy zza ściany: coś się przewala, bulgoce. Pożar? — Nie. — Sypią się książki? Nie histeryzuj! — Szczury? — Alez skąd? Noc wszystkich świętych, noc zaduszek? Spokojnie, spokojnie! — Więc cóż to jest? — Ah, głupstwo, to jednak pożar, bulgocące osypywanie się setek cegieł zrujnowanego już dawniej domu. Znów sen i znów przebudzenie — połyskują różowo okna — i znów chwila snu i majaczeń, skłębionych myśli i niepokojów.

Następnego dnia porządkujemy prasę. Nagle wpadają Niemcy. Chowamy paczki — patrol szabruje i wychodzi — wszystko w porządku. I znów zabieramy się do roboty przy długich cerkiewnych świecach z „księgozbioru" ukraińskiego arcybiskupa Iłłariona.

Na podwórku migocą światełka na małym cmentarzu, na grobach niemowlęcia, starej Niemki, zabitych kobiet i mężczyzn i na zbiorowej powstańczej mogile — jedyne oświetlone Zaduszki stołecznego miasta. Wieczorem i nocą bębni po grobach werbel ciężkiego deszczu...

Następnego dnia wyruszamy znowu do R.G.O. — idziemy jak karawana z jednej oazy do drugiej poprzez płomienistą pustynię. Zdawało się, że pożary nieco przygasły, ale to tylko złudzenie: zewsząd suną dymy. Na domach pojawiły się napisy: B 3, B. 8 — czyż litera B może oznaczać coś innego niż Brennen? — przecież Herrenvolk potrafi nawet płomień zorganizować.

W R.G.O. słuchamy rozważań i opowiadań: Zostać tu tylko w kilka osób? I jeszcze kobietom? Skądże? Wiecie państwo, co się tu działo? Kilka wypadków stwierdzono protokularnie.

Wypadek pierwszy: do jednego ze szpitali przyszli żołnierze i uprowadzili dwie pielęgniarki. Jedna, która im była powolna, wróciła po kilku godzinach i złożyła odpowiednie zeznanie: drugą, która się opierała — zastrzelili.

Wypadek drugi: przyszli żołnierze do jednego z mieszkań, zajętych przez R.G.O. W kuchni natrafili na stare kobiety. „Alte Weiber, siedzieć cicho" i poszli dalej, gdzie były kobiety młodsze. Jedna z nich najpierw krzyczała, a potem była cicho. Nazajutrz przyszła ze skargą. Czegóż pani chce? — pytam. — Chcę, żeby się ze mną ożenił — powiada...

Wypadek trzeci: ten żółtek ,Parteiführer, bardzo miły, wypatrzył sobie jedną dziewczynę. Nawet niczego sobie dziewczyna. W dzień była wolna od pracy, bo pracowała przecież w nocy. Żółtek wyekwipował ją pięknie — z szabru oczywiście — karakułowe futro, wspaniałe suknie, bielizna. Nocą pijaństwa, uczty, śmiechy — aż nadszedł moment Goldrevision. Zatrzymał żołnierz dziewczynę na ulicy i wydobył — ale skąd — pan rozumie? — woreczek pełen pierścieni, obrączek, a nawet bryłek złota. Zbili dziewczynę na kwaśne jabłko na oczach żółtka, który przyglądał się cicho, nieboże.

Kilka rozmaitych wypadków zaprotokułowano, ale poza tym przecież ciągle tu uczty, pijaństwa, śmiechy i radość — krzyki i gwałty. Noc w noc — wojna, proszę państwa!

A Warszawa ciągle się pali. Przedwczoraj — pamiętają państwo ten gwałt? — Kazano mi ewakuować do trzeciej godziny szpital z Koszykowej 51. Jakiż tam szpital? Idę i trafiam na morze płomieni, krztusząc się, brnę między dwie ścianami ognia. Wreszcie dostrzegam poprzez dym

B. więźniowie odbudowują Warszawę

Pierwszy Obywatel Rzeczypospolitej, prezydent Bierut dał piękny przykład ofiarności przy wielkim dziele odbudowy Warszawy. Nietylko, że złożył poważną sumę na cele odbudowy, lecz osobiście przyłożył rękę przy odgruzowywaniu Starówki. W przeddzień miesiąca odbudowy stolicy Polski wygłosił płomienne przemówienie, w którym stwierdził, że Warszawa dobrze zasłużyła się Ojczyźnie.

Polski Związek b. Więźniów Politycznych odpowiadając na apel Prezydenta Rzplitej wezwał wszystkie Okręgi i Koła oraz wszystkich członków Związku do ofiarnego przyczynienia się do dzieła odbudowy Warszawy, która — zdaniem Prezydenta Bolesława Bieruta — stać się ma piękniejszą, aniżeli dotychczas była.

Zarząd Główny ZBWP na posiedzeniu w dniu 3 bm. uchwalił wyasygnować na Odbudowę Stolicy kwotę 100.000 złotych. Podkreślić jeszcze wypada, że poszczególni członkowie Związku biorą czynny udział przy odgruzowywaniu Warszawy.

Przed procesem Marii Mandel

Nadchodziła wiosna 1942 r. Lager przygotowywał wyprawy na śmierć. Polki wywożono w tajemnicy: tak odeszły Janina Jędrzejczykowa, Kazimiera Kisielewska — potem cała partia z Krysią Niemirycz. Wezwano je do Politische Leitung i nikt ich już więcej nie ujrzał...

Ruszył też transport Żydówek bez żadnej osłony, przeznaczonych na zagładę. Cały ich blok stanął na lagrowej, a SS-mani wyliczali ofiary, zostawiając tylko najmłodsze i najładniejsze. Dziesiątka za dziesiątką, setka za setką szły „ab".

Ten kurs krwiożerczo-antyżydowski wprowadziła nowa Oberaufscherin Rawensbrücku, piękna Mandel. Była jak rasowe, giętkie, śliczne i dzikie zwierzę. Zawsze zła, o oczach błyszczących żądzą mordu.

Za jej rządów kobiety formalnie bały się oddychać na apelach, bo cicho, jak kot, umiała się na rowerze tak prześlizgnąć między prostokątami bloków stojących na apelu, że żaden kamyczek niezgrzytnął a ona nagle, rzucała się na zaskoczoną ofiarę, biła, kopała, wyrywała włosy, obracając ku sobie „przestępczynię", aby ją móc zdzielić w brzuch lub piersi swą wygimnastykowaną ślicznie obutą nogą.

Oczy Mandel błyszczały wtedy jąk iskry, białe, szpiczaste zęby zaciskały się zaciekle, a głos podniesiony pasją do wysokiego falsetu, brzmiał głosami nienawiści i wzgardy.

Mandel najczęściej urządzała istny pogrom Żydówkom. Ale, że pobite i poranione chodziły do rewiru po jaką taką pomoc, Mandel postarała się aby Żydówkom nie udzielano pomocy lekarskiej. Przeznaczyła je do pracy przy budowie szosy. Chodziły boso (choć pracujące poza lagrem miały prawo nosić drewniane saboty), raniąc nogi o ostre kamienie, a ran nie wolno było obwiązywać.

Mandel i Ehrich, dwie piękności aufscherskie, ustawicznie robiły przeglądy, czy nie mają one na pokaleczonych nogach strzępka szmaty lub papieru. Biada tej, u której znalazły ślad takiego zakazanego opatrunku! Biciu nie było wtedy miary, a wszystkie ciosy skierowane były właśnie w te bolące, oropiałe miejsca. Rany otwarte gromadziły w sobie kurz z rozbijanych na brukowanie kamieni, a muchy składały w nie jajka. Tworzyły się wrzody, coraz bardziej cuchnące. A za tę obmierzłą woń, dostawały nowe razy obcasem eleganckiego buta przy akompaniamencie wrzasku: ihr dreckige Saujüdinnen! ihr verpestete Bagage! krepiert und verstänkert die huft nicht!

Po kilku tygodniach takich męczarni interweniował ktoś z wolnościowych ludzi i wreszcie dopuszczono ofiary do rewiru. W zczerniałych ranach roiły się całe kłęby białych robaków. Był to widok tak ohydny, że „szwestry" odwracały oczy, zatykając nosy i kazały häftlingom — pomocnicom rewirowym, zaprowadzić je do łaźni umyć nogi, usunąć z nich robaki i dopiero potem przyprowadzić na opatrunki.

Niedługo cieszyły się biedne podgajaniem się ran: wnet odjechały wszystkie na tzw. transport w nieznane...

To był wyczyn „masowy" pięknej Mandel. Nie mniej ofiar pochłonęły jej wyczyny „indywidualne". Kto w lagrze zliczył i kto do dziś spamiętał te setki kobiet, które wysłała do sztrafbloku, a zwłaszcza do bunkra?

Na sąd, mający się odbyć nad Marią Mandel, przesłała do Krakowa swoje zeznania pani Heltje Epker, Holenderka, lekarka z Hagi. (W obozie siedziała ona za to, że przyjętej przez siebie na wychowanie dziewczynce dała imiona Wilhelminy, Julianny, imiona holenderskiej królowej i następczyni tronu). Cudem przetrzymała ona gwałtowne „spotkanie" z Mandelką, ale jej postawa dodała otuchy setkom innych maltretowanych.

W lagrze dzielna Holenderka nieustraszenie protestowała przeciw poniżaniu więźniarek politycznych, gdy raz w warsztacie, gdzie pracowała p. Epker, aufseherka uderzyła w twarz jedną z politycznych, Holenderka zerwała się z miejsca, podbiegła do SS-manki i zawołała.

— Jak pani śmie bić więźniarkę polityczną! Niemka zaskoczona takim niebywałym wystąpieniem, wybąkała skonsternowana:

— Bo ona jest leń, nie pracuje, tylko gada!

— A jakim prawem zmuszacie polityczne do roboty? To jest wbrew genewskiej konwencji!

Ale Niemka już ochłonęła z zaskoczenia.

— Stul pysk, głupia babo, bo sama dostaniesz w mordę!

— Grozisz mi biciem?! Zamelduję o tym komendantowi! On cię nauczy, czy wolno na Holenderkę podnosić rękę!

I rzeczywiście poszła na skargę do komendanta. Ten polecił Mandel, żeby „sprawę rozpatrzyła". Mandel miała swój system rozpatrywania spraw.

— Ty szmato! Ty się będziesz sprzeciwiała niemieckiej władzy? — wrzeszczała rozwścieczona i nim się p. Epker spostrzegła, uderzyła ją w twarz raz i drugi.

Na to furią skoczyła Holenderka ku Mandel, pochwyciła jej ręce, ścisnęła je, jak kleszczami i zawołała:

— Mogłabym cię teraz bić po twarzy gdybym chciała! Ale co tobie uderzenie w twarz? Tyś do tego przyzwyczajona! A ja nie chcę cię bić! Ja jestem *dama*, rozumiesz, *dama!* A każda dama wie, że policzek hańbi nie tego, kto go odbiera, ale tego, kto go wymierza!

Puściła ręce zdumionej Niemki, a ta chwyciła kij stojący gdzieś w kącie, biła nim w straszliwy sposób Holenderkę i wysłała ją na 3 miesiące do bunkra. Trzy miesiące — 3 miesiące ciemnicy, spania na asfaltowej posadzce, jedzenia raz na trzy dni, a wśród tego wciąż powtarzających się wizyt Mandel — tego nikt przed p. Epker nie przetrzymał... — która biła dotąd, póki katowana nie straciła przytomności.

To, co się między p. Epker a Mandel działo w bunkrze, było tajemnicą, aż do procesu w Norymberdze przeciw załodze ravensbrückiej, gdzie p. Epker zeznawała jako świadek.

Ale wieść o ich spotkaniu w kancelarii oberynki szybko rozeszła się po lagrze, bo świadkami tegoż były dwie policjantki, odprowadzające p. Epker przed oblicze władzy. Lager trząsł się z emocji słuchając tych opowiadań z mieszanymi uczuciami: współczucia dla dzielnej Holenderki, obawy, czy przetrzyma bunkier i satysfakcji, że piękna bestia napotkała na osobę, która potrafiła ją upokorzyć i poniżyć.

Ale czy Mandel istotnie była zdolna odczuć to upokorzenie?

Ten głos jest jeszcze słaby
Niemcy — antyfaszyści o Polsce

Z okazji zorganizowania w Dreźnie (strefa radziecka) wystawy pt. „Nowa Polska", która cieszyła się ogromnym zainteresowaniem, niemiecka prasa antyfaszystowska zamieściła szereg artykułów poświęconych osiągnięciom Polski odrodzonej i stosunkom niemiecko-polskim.

Kilkanaście lat rządów hitlerowskich zdusiło świeże źródła zdrowej, postępowej myśli w Niemczech i z całego niemal narodu uczyniło potencjalnych lub rzeczywistych zbrodniarzy wojennych czy też w najlepszym razie biernych świadków zbrodni. Garstka tych, którzy mieli odwagę myśleć inaczej, w większości są to b. więźniowie obozów koncentracyjnych, posiada dzisiaj jeszcze poza strefą radziecką nikły wpływ na życie polityczne kraju.

Niemniej rozum polityczny każe nam, skazanym na wieczne sąsiedztwo z Niemcami, pilnie nadsłuchiwać tego słabego dziś jeszcze głosu. Ile w nim jest szczerości i siły przekonania? Zawcześnie nam dzisiaj sądzić.

„Sächsische Zeitung" (organ S.E.D.) pisze:

„Niezmierne cierpienia wyrządziła zbrodnicza wojna hitlerowska naszemu sąsiadowi na Wschodzie, narodowi polskiemu.

— — — — — — — — —

Niewystarczą zobowiązania reparacyjne dla powetowania krzywd i szkód. Najlepszym naszym świadczeniem reparacyjnym będzie nasza walka przeciw faszyzmowi, militaryzmowi i reakcji, nasza walka dla sprawy demokracji, pokoju i i niepodległości. Wystawa „Nowa Polska" jest krokiem na tej drodze".

Charakterystyczne jest stanowisko dziennika w sprawie nowych granic i problemu wysiedleńców:

„Nie zapominajmy, że to Hitler wyrwał znaki graniczne, że tylko reżim nazistowski temu winien, jeśli sąsiad, dotknięty napadem zniósł znaki graniczne na naszą niekorzyść, po pokonaniu faszyzmu, aby się zabezpieczyć przed nowym napadem.

Nas wtedy nie pytano i nie jesteśmy odpowiedzialni za ten stan, ale musimy przejąć zobowiązania stworzenia nowej ojczyzny naszym przesiedleńcom".

Dziennik wiele miejsca poświęca pokazanym na wystawie dokumentom rozwoju Polski powojennej, „który się nie da porównać z żadnym okresem poprzedzającym" i kończy sprawozdanie:

„Nas, Niemców musi do głębi wzruszać fakt, że Polska nie stosuje względem nas nie tylko żadnej polityki odwetu ,ale ponadto skłonna jest do współpracy z nowymi Niemcami demokratycznymi i pokojowymi, chociaż zniszczenia w Polsce spowodowane zostały wojną hitlerowską i metodami barbarzyńskimi, chociaż zamordowano 6 milionów ludzi".

„Nowa Polska zawarła umowę handlową z radziecką administracją wojskową dla strefy wschodniej w wys. 30 miln. dolarów.

„Niech każdy Niemiec zrozumie, że serdecznym uściskiem przyjąć powinniśmy podaną nam dłoń w duchu szczerej przyjaźni".

Szereg imprez w ramach wystawy zakończył się manifestacją Związku Ofiar Faszyzmu (V. V. N.), poświęconej sprawom Polski.

Kolejni prelegenci wspominając „cierpienia milionów nieustraszonych antyfaszystów w obozach koncentracyjnych" wzywali b. towarzyszy do dalszej walki przeciw konspirującym dotąd czynnikom reakcyjnym, aby zapobiec powtórzeniu się tych przeżytych okropności".

Przewodniczący V. V. N. w Dreźnie Egon Reutzsch przypominał jak dobrymi kolegami w lagrach byli polscy więźniowie polityczni. „Polska padła pierwsza ofiarą szalonej metody niszczycielskiej faszystów — mówił Reutzsch — a teraz jest pierwszym narodem sąsiednim, który nam podaje braterską dłoń, którą to dłoń przyjmujemy, ślubując współpracować z narodem polskim dla sprawy pokoju".

(hb)

Krystyna Walska

Jak królowa cygańska
tańczyła w Oświęcimiu

Miała pospolite polskie imię: Stefka. Gdy szła z nami w szeregu na pole w takim samym jak nasze połatanym pasiaku, odzywając się nadwiślańską gwarą — nic nie wskazywało na jej egzotyczne pochodzenie. Dopiero, widząc literę „Z" na czerwonym trójkącie przy numerze — dostrzegałyśmy jej oliwkową cerę i głęboką czerń wspaniałych oczu.

Stefka była jedną Cyganką z czerwonym „winklem". Zastanawiałyśmy się często, jakież to przestępstwo polityczne mogła popełnić ta obca dziewczyna, trochę dzika nucąca tylko swoje wschodnie melodie, wypowiadające nieukojoną tęsknotę?

Jej rodaczki w tym czasie usunięto już z FKL-u na „cygański" — familijny lager Stefka co wieczór po apelu stawała przed drutami, dzielącymi „pola" i nawoływała swoich dziwaczną, niezrozumiałą mową.

Aż jednej niedzieli...

Była to wyjątkowa niedziela. Lał rzęsisty deszcz i my moknąc na apelu, zastanawiałyśmy się nad rodzajem obmyślonej na ten dzień dla nas „niespodzianki". Karne roboty, czy odwszenie? Od bramy nadeszła szybkim krokiem aufsejerka przysłonięta czarnym kapturem peleryny i rozchlapując błoto na wysokie, lśniące buty przeliczyła nas nieuważnie. Blokowe, srebrzyście połyskujące swymi przezroczystymi pelerynami natychmiast schroniły się do sieni baraków. Apel stał dalej, przez szeregi biegły tylko podniecone szepty: skulone pod biczami deszczu, przygnębione, jeszcze czekałyśmy na coś gorszego. Na lagrze panowała smutna cisza, szumiąca deszczem, w którym matowiał tubalny głos Steni, wykrzykującej swoje sakramentalne: „Ruhe". — I nagle gwizdek ogłosił koniec apelu. „Wszystko do bloków" — wrzasnęły blokowe, a my, rozbryzgując mętną wodę kałuż, miętosząc drewniakami błoto, rzuciłyśmy się dziką sforą do wąskich bram baraków. Mokre pasiaki zawisły na wiązaniach dachu, mokre ciała skuliły się pod kocami. Większość szybko zapadła w sen.

Na jedną ze środkowych koj jedna z „efekciarek" przemknąwszy przez „blockspere", przyniosła zatłuszczoną talię kart.

Pogrążyliśmy się w badanie przyszłości.

„Przyjdzie list i pieniądze" — wyrokowała stara góralka, Zachwiejowa, niezawodna tłumaczka snów. „Chyba paczka" — poprawiałyśmy. „A potem wielka radość w domu. Wyjdziesz na wolność" — kończyła „wróżka" nieodmiennie.

Stefka, zwykle stroniąca od nas, tym razem wcisnęła się w grupę, przykucnęła przy kabalarce, przyglądała się rozłożonym kartom, a parę razy, ku wielkiemu oburzeniu Zachwiejowej — zakwestionowała znaczenie układu waletów i dam. Stara zniecierpliwiła się, zmieszała talię: „Niech wam cyganicha wróży".

Stefce zabłysły oczy, zapachniała jej półporcja chleba, przyniesiona dla wróżki przez jedną ze sztubowych.

Następnej „klientce" już Stefka rozkładała karty, trzepiąc monotonnie: „Strzeż się fałszywej przyjaciółki, paniusieczka. Przyszłość twoja w szczastiu i zdrowiu. Sześcioro dzieci paniusieczka wyhodujesz. Ale twoja męska głowa niedobra, zdradliwa".

Stanowczo wolałyśmy kabałę Zachwiejowej, rzeczowo mówiącej o bliskich, realnych rzeczach. Co nas w tej chwili obchodziły nasze „męskie głowy" i przyszłe dzieci? Ale Stefka znalazła się w swoim żywiole i po raz pierwszy, podniecona, zaczęła opowiadać o sobie.

Szczęśliwe, swobodne dzieciństwo spędziła na malowanym wozie, toczącym się w niezmiennej wędrówce przez wyboiste polskie i rumuńskie drogi. Żyli z tego, co zarobił ojciec-kotlarz i matka-kabalarka. Tak przynajmniej mówiła Stefka... Potem jak Stefka podrosła — nauczono ją tańczyć. Tańczyła więc na postojach, zbierając miedziaki, brzęczące, jak cekiny, które wplatała we włosy.

I kiedyś na jednym z takich postojów, w ogromnym, ruchliwym mieście cygańskich namiotów — spotkało ją to szczęście. Był to jakiś festyn na cześć nowoobranego króla Cyganów. Trzynastoletnia Stefka zatańczyła przed władcą i zwróciła na siebie jego łaskawy wzrok. Sześćdziesięcioletni dynasta właśnie szukał żony.

Krótko trwały pertraktacje z olśnionymi sukcesem rodzicami Stefki Tato zgarnął spory worek złotych monet, mama popłakała, błogosławiąc córkę na nową drogę życia. Z zachwytem i przerażeniem zarazem Stefka wyruszyła do Rumunii, gdzie, w domu przyszłych teściów miała się sposobić do swej przyszłej godności. Wyuczono tam Stefkę „dworskich" ukłonów i artystycznego tańca. Gdy po dwóch latach król Kwiek przybył do rodzinnego miasteczka na obrzęd zaślubin — Stefka powitała go pięknym, tanecznym popisem.

— Byłam tak ślicznie ubrana' — mówiła z rozmarzeniem Stefka. — Naprawdę byłam ładna. Nie to, co teraz — wskazała na ostrzyżoną głowę, z której zsunęła się chustka.

— To ty jesteś królowa. Stefka! mówiłyśmy z podziwem. — No, no — ktoby się spodziewał!

— A tak, królowa! — Stefka prostowała się dumnie. — I potem już zaczęło się moje królewskie życie Nie mogę powiedzieć, król był dla mnie bardzo dobry. Zawiózł mnie do Warszawy. Tam na Marymoncie miał piękne mieszkanie z dywanami i lustrami do samej ziemi. Woził mnie dorożką do miasta, a co mi się podobało na wystawie, to zaraz kupował. Takie śliczne miałam kapelusze!

— To już nie ubierałaś się po cygańsku?

— A niee... Ubierałam się jak prawdziwa dama. Przecież byłam królową!

— A skąd się wzięłaś w Oświęcimiu?

— Jak zabierali wszystkich Cyganów — to przyszli i do nas. Dzieci z teściową ukryłam. A że męża nie schwytali, to mnie wzięli za zakładniczkę. Dlatego ja nie jestem jak inne cyganki, tylko polityczna.

W kilka dni potem Stefkę wezwano „na bramę". Przyszła trzęsąca się i zapłakana. Niemcy schwytali jej dzieci z babką i wysłali na cygański lager.

— Tak ich prosiłam, na kolana padałam, po rękach chciałam tych draniów całować, żeby mnie do dzieci puścili. No, to niby obiecali, że dzieci tu do mnie przeniosą.

Odtąd co jakiś czas Stefka wędrowała na Blockführer-stube. Obchodzili się z nią dość grzecznie, nawet wtedy, kiedy zgłaszała się sama, uporczywie upominając się o swe prawa matki. Potem, przed rannym apelem, Stefka stając przed drutami, przebijała zawodzącym głosem ciemność i mgłę. W szarości przedświtu do drutów cygańskiego lagru zbliżały się trzy czarniejsze od nocy sylwetki: dwie małe po bokach wyniosłej, kopiastej spódnicami sylwetki. Stefka pocieszała babkę i dzieci, że już niedługo będą razem.

Dzień taki nadszedł. Stefkę wywołano na wieczornym apelu na „Blockführerstube". Wróciła nieprzytomna ze szczęścia. Rzucała się nam na szyję, zawiadamiając: „Jutro dzieci i babkę przenoszą na nasz blok!"

Tego wieczoru blokowa Maria, volksdeutsch z zielonym winkiem, była w świetnym humorze. Po apelu rozdano nam paczki i Maria z rozpostartym fartuchem przeszła przed kojami. „Paczkowe" składały normalny haracz. Fartuch blokowej wypełniły: cebula, jabłka, kostki cukru, kawałki tłustego boczku. A w pokoiku czekała na nią litrowa butelka, „zorganizowana" przez jednego z murarzy, pracującego przy sąsiednim klozecie: rewanż za smaczne obiadki. Więc kiedy na bloku „pełne komando" zapadło w twardy sen — drzwi od pokoiku blokowej otwarły się z hukiem, Maria w wypiekach wyskoczyła na środek baraku prosto do koi cygańskiej królowej. Pociągnęła za brudną, bosą nogę.

— Stefka, tańcz!

Szrajberka naprędce uszyła z prześcieradeł fałdzistą, długą spódnicę. Znalazły się i „papucie", mistrzowsko uszyte w Muterkunfcie. Stefka lekkim krokiem wstąpiła na piec, wspięła się na koniec palców. Zafurkotały fałdy prześcieradeł, jak rozłożyste, kwieciste spódniczki, zawirowały długie końce Stefczynej chustki, jak bicze warkoczy olbrzymie oczy rzuciły blaski, jak migot złocistych monet.

Nie było już Stefki, ociężale stąpającej w błocie, zgarbionej nad łopatą. Przed nami gięło się w tańcu egzotyczne zjawisko — cygańska królowa.

Nazajutrz zaraz po pierwszym gwizdku, Stefka pobiegła pod druty zawiadomić rodzinę o szczęśliwej nowinie. Jej krzyk był nabrzmiały radością.

Ale z tamtej strony odpowiedziała cisza.

Stefka zawołała po raz drugi, oczy z niepokojem starały się przebić szarość przedrannej godziny. Po tamtej stronie rysowały się tylko ciemniejsze od nocy przysadziste cielska baraków. Żadnego ruchu, żadnego głosu.

Zawołała raz jeszcze. W radosny ton wplotła się nuta niepokoju.

Czerń nieba zwolna nasiąkała szafirem. Z lewej strony, nad grubym pniem komina rozwijało się miotane wiatrem krwawe drzewo ognia.

... Tej nocy spalono wszystkich z cygańskiego lagru.

białą chorągiew z czerwonym krzyżem. Wchodzę i natrafiam na ludzi brudnych, zapotniałych i osmolonych o czarnych twarzach, czerwonych powiekach i wytrzeszczonych oczach. „Panie, niech pan nas ewakuuje".

Jakiż to szpital? Szpitala w ogóle nie ma. Okazuje się, proszę państwa, że jakiś dowcipny warszawiak zebrał dookoła siebie grupę ludzi, wywiesili chorągiew Czerwonego Krzyża — i nuże na szaber. Przypilił ich ogień, proszą więc o ewakuację. Cóż wy chcecie ewakuować? — Ano, potrzebne nam auta do wywiezienia naszego majątku... Oni aut nie dostali, ale ja dostaję meldunek, żeby ewakuować szpital z ulicy Piusa. Co u licha? Okazuje się, proszę państwa, że banda pana magistra, nie mogąc wytrzymać w zacieśniającym się kręgu pożaru, przeniosła się na Piusa i znów gwałtuje o ewakuację swojego bogactwa. Tak, proszę państwa.

Tym razem scenę stanowi gigantyczny kocioł czarownic. Na pierwszym planie obramia brzeg kotła wyrazista sylweta kominów i wykoślawionych strażaków, a ze środka buchają ognie, przewalają się gorejące wiry, naprzemian rozjaśnia się i ciemnieje jądro szatańskiego sabatu. Z samego środka wali w górę fontanna płomienistych iskier. Pojedyncze z nich wznoszą się wysoko i opadają łagodnie w miękkim powietrzu, jak tajemnicze czerwone krople. Na pobliskich domach brzmi cichy akompaniament nikłych, chybotliwych świateł, rzutowanych na mury przez okna gorejących wnętrz. U góry spina widowisko klamra księżyca.

Piątego listopada wyruszamy poraz ostatni do R.G.O. Mijamy auto z szabrującymi żołnierzami. Jeden z nich zatrzymuje nas i zaczyna wściekle wymyślać: „Legitymacje — nieważne! Opaski — nieważne! Nie wolno wychodzić bez niemieckiego Beigleitera. Siedzieć w domu! Będziecie zastrzeleni!" Po chwili zjawia się elegancki oficer i zaczyna tłumaczyć że chodzi tu przecież wyłącznie o nasze dobro: wreszcie puszcza nas wolno.

W R.G.O. nastrój ponury. Wszyscy już wyjeżdżają. Siedzieć tu po dzisiejszej nocy? Wiecie państwo, co się tu działo? Wszystko przez te kobiety. Chcą szabrować, proszą Niemców na Beigleiterów, obiecują im cuda, no więc żołnierze przychodzą po nocy i żądają wyrównania rachunku. Mieliśmy tu, na podwórzu, ryki, jęki, piski, ucieczki i gwałtowną pogoń strzelaninę — nie, dłużej tu zostać nie sposób, proszę państwa

* * *

A więc zostajemy sami, jako oficjalna ludność miasta Warszawy — bez możności poruszania się po mieście.

Wracamy do domu. Rozważamy takie i siakie perspektywy i w rezultacie, zastanawiając się nad rozmaitymi rzeczami, postanawiamy nie zameldować.

Zaczyna się krzątanina, gromadzenie najrozmaitszego „dobra". Taszczymy maszyny, obrazy, książki — przez korytarze, magazyny, po krętych schodkach. Drogę znaczą poustawiane na ziemi świeczki. Schody oświetla stary bronzowy świecznik z amorkiem. Tłuściutki, barokowo przegięty i baletowo wspięty na jednej nodze, dźwiga bez trudu olbrzymią cerkiewną świecę i spogląda beztrosko na nas, jak na niestworzony pochód duchów w ciemności.

Gromadzimy coraz to więcej rzeczy; wszystkich ogarnia znużenie i zimno, wreszcie ktoś zabiera się do zrobienia gorącej polewki winnej. W kuchni odkrywam nagle pejzaż górzysty; poprzez wąwozy, wyżłobione pomiędzy spiętrzonymi pakami, brniemy do płaskowyżu stołu, na którym panoszy się znowu kabała, przecinając mroki niewiadomego jutra.

Rozgrzani polewką, ruszamy znów do roboty.

Trzeba iść na podwórze po cegły. Milczkiem skradamy się w inny świat; na małe podwórko, roziskrzone księżycem. Wydłubujemy cegły i ze zdobytym skarbem skradamy się cichcem spowrotem. Nagle jedna cegła upada z łoskotem. Zdaje się, że to potężny huk, który zbudzi cały wrogi świat dookoła. Stajemy jak wryci w pogłębionej jak gdyby przeraźliwej wprost ciszy, która powoli spłyca się i wydobywa nas z lęku. Wreszcie mistrz ceremonii staje do roboty murarskiej. Nagle — cóż to? — ach, to nic, to tylko ktoś z nas ciska do meliny zapomniane perskie dywany (to było coś takiego na świecie?-, a nuż ocaleją? Zaczyna się głośna robota, wobec czego potrzebna jest warta. Nakładam olbrzymi stróżowski kożuch, idę na górę, siadam przy oknie. Już jasno. Poprzez mgłę senności spostrzegam różowy blask świtu, oświetlający zamarłe domy z oślepłymi oczodołami okien. Nagle skaczę na równe nogi — ah, nie, to nie kroki, to nie wystrzały, to nie samolot — to odwieczny poranny hymn wróbli na cześć niczym niezamąconego, różowo-lirycznego wschodu słońca.

I znowu cisza. W tym przerywają ją tupot nóg i szczekające głosy Idę z ostrzegawczym sygnałem. Czekamy. Czekamy. Wreszcie, kroki się oddalają — wszystko w porządku.

Nazajutrz malowanie ściany: utytłana w farbie od stóp do głów, słyszę nagle ujadanie naszego pieska, zdecydowanego wroga hitlerowskiego munduru: a więc znów patrol. Zawalam gratami drzwi, taszczę kubełek do kuchni, siadam na nim zapobiegawczo i myję ręce. Po chwili wchodzą do kuchni żandarmi. Chwila rozmowy — tak, gotujemy obiad, rozrabiam właśnie ciasto, aufwiedersehen, no wreszcie.

Robota skończona.

(D. c. n.)

POD ŚWIATŁO

Ciemnota i zbrodnia

„Liga do walki z rasizmem" jest, niestety, jeszcze potrzebną. Epidemia psychiczna, która zatruła miliony mózgów, jeszcze całkiem nie wygasła. Robota niemieckiej hołoty intelektualnej zostawiła ślady, które w dalszym ciągu znajdują wyraz nie tylko w czynach niedorzecznych, ale i w morderstwach.

Rasizm był największą hańbą 20 stulecia. Obrażał wiedzę i naukę, przygotowywał wojnę, rozbudzał instynkty najgorsze. Było to wyzwanie rzucone wszechświatowej kulturze i cywilizacji. Była to próba odczłowieczenia rodzaju ludzkiego. W rasistowskiej literaturze niemieckiej powoływano się na „prawo naturalne", rządzące światem zwierzęcym, prawo silniejszego fizycznie. Wyznawcy teorii rasistowskiej czerpali swą mądrość z życia dżungli, którą — dosłownie — sławili. Znaleźli się „uczeni" niemieccy, którzy z lubością opisywali zwyczaje bocianów, zabijanie słabszych przed odlotem. Z życia zwierząt przytaczali mnóstwo przykładów, jakie miały świadczyć o tym, że całym światem żyjącym rządzi prawo przemocy. Z nietzscheańskiej teorii „nadczłowieka" uczynili teorię niedoczłowieka.

Cały postęp kultury ludzkiej polega na przezwyciężaniu instynktów zwierzęcych, na coraz większej różnicy pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem.

Mrówki dzielą się na blisko 2.000 odmian. Wszystkie nienawidzą cię wzajemnie. Jak to opisywał Hans Ewers w książce pt. „Mrówki", żadna mrówka jednej „rasy", czy jednego „plemienia" nie odda się „przedstawicielowi" innej „rasy". Różne odmiany mrówek prowadzą między sobą odwieczne wojny. Jest to — jak pisze Ewers — społeczność zmilitaryzowana. Gdyby mrówki posiadały.. literaturę, byłaby podobna do literatury hitlerowskiej.

Kto czytał Rosenberga „Mit 20 wieku", tę apoteozę „wyższej rasy", może uprzytomnić sobie, do jakiego obłędu może doprowadzić myśl rasistowska. Do obłędu i do zbrodni, który otrzymuje w tej książce sankcję „prawa". Dali sobie ci opętańcy prawo rządzenia światem, jako reprezentujący „czystą krew germańską". Jest to niewiarogodny stek absurdów, przeczący wszystkiemu, co o sprawach „rasy" mówi nam uczciwa nauka.

Smutne to, że „Liga do walki z rasizmem" jest jeszcze potrzebna. Nie tak to łatwo z życia nowej epoki wyplenić chwasty epoki minionej, która jeszcze daje znać o sobie w ciemnocie ,sprzymierzonej ze zbrodnią.

Andrzej Kobyłecki

Buchalter

(Historia prawdziwa).

— Ty nie zrozumiesz tego nigdy. Nikt zresztą tego nie jest w stanie zrozumieć; i ty i on i ci wszyscy, którzy z odrazą w sercach, z ciężkim przymusem malującym się w całej postaci, idą do biura, by zaspani, wyzuci ze wszelkiego zapału, nieszczęśliwi z losu jaki im przypadł w udziale biegną truchcikiem do nienawistnego gmachu by drzemać w nim do godziny 3-ej.

Nie rozumiesz i nie czujesz całego romantyzmu, i poezji, ukrytej w cichym szeleście papieru i melodyjnym skrzypie piór.

Papier i atrament biurowy mają swój specyficzny zapach. Pachnie nawarstwiony na plikach akt kurz. Pachną obwiązane papierowym sznurkiem foliały starych protokółów w archiwum, pachnie piwnica zawaiona ciężkimi skrzyniami, w których zgromadzone stare szpargały, zawierające tragedie i radości nie jednych dziejów człowieczych.

Czy próbowałeś kiedy wczytywać się w kolumny cyfr zaksięgowanych buchalteryjnie na stronie „Winien" lub „Ma"? Cyfry te mówią, krzyczą, gwarzą, opowiadając o wysiłku ludzkiej gromady, o tragediach i radościach.

Pamiętasz te chwile, kiedy za oknami rozlegał się niespodziewanie zachrypnięty głos katarynki, lub rytmiczna melodia ulicznego jazzu, który zawitał przypadkowo w studnię podwórka. Kiedy to wszyscy i panna Jasia o ustach ociekających wiśniową farbką i panna Lola z jaskrawo wymanicurowanymi palcami, ba, nawet sam referent zrywali się od biurek, by wyjrzeć przez zakurzone okno, nie zwracając uwagi, na to, że na stole stygnie herbata, a wiecznie głodny praktykant Wacuś łacno zławować może pachnącą kanapkę z szynką kupioną na kredyt do pierwszego u woźnej Halikowej. W takich chwilach wślizgiwał się zwykle do zawsze mrocznego pokoju biurowego promień słońca, które jakimś cudem wyłaniało się na chwilę spoza kwadratowego komina na błyszczącym dachu.

Wtedy to naczelny buchalter pan Rokucki stawał przy parapecie okiennym i stukał do taktu delikatnie czubkami palców w uchyloną szybę. Wyciągał potem z kieszeni wiecznie poplamionych i nigdy nieodprasowanych spodni staroświecką, skórzaną portmonetkę, grzebał w niej przez chwilę, aby wreszcie, zawinąwszy starannie błyszczący pieniążek w kawałek gazety cisnąć go celnie między zgromadzonych na dole grajków.

Czasem udawało mu się trafić w czarny kapelusz dyrygenta. Cieszył się wtedy jak dziecko i „robił oko" do panien, porozumiewawczo i figlarnie. Z chwilą jednak kiedy muzykanci opuszczali podwórko powracał pierwszy do biurka wyjmował z kieszeni marynarki czarny notes, wyglądający jak mała księga buchalteryjna i zapisywał na „Ma" 10 groszy.

Pan Rokucki jeden jedyny w całej instytucji kochał biuro... Po godzinach pracy zabierał ze sobą do domu książki buchalteryjne. Często jadąc na platformie tramwaju widziałem, jak wyjmował je siedząc przy oknie z teki i wpatrywał się w długie kolumny cyfr, zdradzając także zainteresowanie, jakby czytał jakąś fascynującą powieść.

Kiedy spotykał mnie na ulicy chwytał nieodmiennie za guzik od marynarki i zaczynał opowiadać o biurze. On jeden jedyny odnajdywał w nim czar ukrytej poezji i potrafił gadać w nieskończoność o debecie i kredycie. Przerywał swoją tyradę tylko na chwilę, by przetrzeć zapocone wiecznie okulary ogromną chustką, którą wyciągał z czeluści kieszeni, wysypując po drodze drobne papierki i resztki tytoniu.

Pan Rokucki chodził zawsze, bez względu na porę roku, w gabardinowym, wytartym palcie i w kapeluszu o szerokim rondzie. Spodnie na jego nogach fałdowały się zawsze w delikatną harmonijkę ukazując tylko kwadratowe czubki staroświeckich butów.

— Ty nie zrozumiesz tego nigdy — powtarzał nieodmiennie i kręcił guzikiem od mej marynarki z taką pasją, że guzik pozostawał zawsze w jego palcach.

— Ty możesz jeszcze tysiące razy zmieniać swój zawód. Dla mnie byłoby to końcem mojej radości, końcem mojego życia. Nie, ty nigdy zrozumieć tego nie będziesz w stanie.

Pan Rokucki kochał biuro i kochał pannę Joasię, skromną panienkę z personalnego. Uczucie swoje do dziewczyny maskował starannie urzędowym tonem, jakim zwracał się zawsze do niej. Koledzy widzieli jednak wyraźnie, że w chwili kiedy panna Joasia przechodziła przez pokój, Rokucki odrywał oczy od ksiąg i spoglądał na jej zgrabną sylwetkę z jakąś niewypowiedzianą czułością.

Często zaglądał także do pokoju, w którym urzędowała panienka, udając, że ma jakąś ważną sprawę do jej kierownika. Wtedy to panna Joasia obserwowała go również ukradkiem. Nie przyznawała się też nigdy przed koleżankami, że czuje coś do „zatabaczonego buchaltera" — jak go powszechnie nazywano.

Na imieniny panna Joasia otrzymywała od swego ukrytego wielbiciela co roku piękny bukiet, który jej przynosił wczesnym rankiem chłopiec z kwiaciarni przy ul. Kruczej. Taki sam bukiet zastawała w biurze na stole.

Kiedy usiłowała dziękować ofiarodawcy, chwytał ją za obydwie rączki i całował raz jedną, raz drugą, między słowami życzeń wypierając się: że to nie on, nie od niego te kwiaty, to pewnie jakiś młody, przystojny oficer, gdzieżby tam jemu do tego!

Ale panna Joasia wiedziała dobrze, że to właśnie on i była mu niewypowiedzianie wdzięczna, bo mimo obopólnego skrywania — miłość ich rosła z dnia na dzień, choć oprócz życzeń imieninowych nie zamienili dotąd na ten temat ani słowa.

I działo się tak, że pan Rokucki coraz bardziej kochał biuro i coraz bardziej miłował pannę Joasię. Niewiadomo czyby wreszcie nie zdobył by się na jakiś stanowczy krok i nie ożenił z nią wreszcie, gdyby nie wojna. Przyszła znienacka jasnego wrześniowego dnia 1939 roku i wprowadziła niesłychany chaos w uregulowane dotychczas życie.

Pan Rokucki zagubił się w bezładnym tłumie pędzącym gdzieś na wschód. Zgubił też pannę Joasię, która wysiadła na jakiejś stacji z transportu ewakuacyjnego i została. Spotkali się dopiero po kilku miesiącach w okupowanej Warszawie i zaczęli jak dawniej pracować w tej samej instytucji. Ona w wydziale zakupów, on jak dawniej w finansowym.

Zniknęła jednak bezpowrotnie dawna radość i romantyzm szarych biurowych dni. Instytucję objęli Niemcy, i pan Rokucki zaczął coraz silniej odczuwać wyrzuty sumienia, że pracuje pośrednio dla wroga, choć właściwie oblicza tylko i sumuje cyfry.

Zagłuszał w sobie niesmak do samego siebie kolportowaniem gazetek i pracą w konspiracji. Jednak ukochane dotychczas biuro stawało się dla niego czymś okropnym, czymś, czego nie mógł znosić. Wlókł się ulicą do pracy zniechęcony do życia, mylił się w rachunkach, zaniedbywał coraz bardziej, słuchając z nienawiścią obcej mowy, rozlegającej się teraz wszędzie i przy stolikach urzędowych, i przy okienku dla publiczności. Aż wreszcie pewnego dnia pan Rokucki nie przyszedł do biura, nie przyszedł do swojej Joasi, której już w tych najcięższych w swoim życiu chwilach zdołał wyznać miłość. Nie przyszedł, choć wiedział, iż posiada całą jej wzajemność i że mógłby posiąść szczęście, gdyby jego biuro było takie samo jak przed wojną.

*

Rozszumiały się — tak, jak w żołnierskiej piosence — wierzby płaczące... rozpłakało się zachmurzone niebo i pod nogami zaczęła chlupotać rozmiękła ziemia. Góry Świętokrzyskie przygarnęły przybysza, który zawitał tu wraz z garstką kolegów z dalekiej Warszawy. Leżąc w mokrej trawie, ogarnięty zewsząd tym szumem i chlupotem deszczu, tkwił teraz pan Rokucki, wypatrując wroga, z za okularów, zachodzących nieustannie mgłą, z twarzą przytulną do zimnej lufy karabinu. Zdawało się wszystkim, że zapomniał zupełnie o swych największych miłościach: o biurze i o pannie Joasi. Tylko najbliżsi przyjaciele widzieli, jak wieczorami przy ognisku, iskając wszy w przegniłych łachach, wyjmował ukrytą na piersi fotografię swojej dziewczyny, jak ukradkiem po każdej potyczce odchodził na bok od kolegów i wyjąwszy z kieszeni wielki notes pisał w nim coś długo i skrzętnie. Raz na takim pisaniu przyłapał go dowódca, kapitan „Sęp".

— Mówiłem wam, s... syny, że nie wolno pisać pamiętników. Jak was przyłapią, będą mieli z tego wspaniały materiał.

Kiedy pan Rokucki zaczął jednak tłumaczyć, że to przecież żadne pamiętniki, lecz obliczenia, kpt. „Sęp" wyrwał mu książeczkę z ręki i zdumiał się niepomiernie. Notes, była to normalna książeczka buchalteryjna, w której na stronie „Winien" i „Ma" widniały kolumny cyfr, obrazujące straty nieprzyjaciela i własne.

Od tej chwili pan Rokucki otrzymał w oddziale przezwisko „Buchalter", nie gniewał się za to na nikogo, nawet był dumny. Te jego buchalteryjne zapiski stanowiły nieraz ciekawy materiał dla dowództwa, któremu zaimponował ten dokładny wykaz. Nie broniono mu też dalej jego dziwactw, nakazując tylko w razie wpadki zniszczyć notes.

Kiedyś po jakimś większym starciu, kiedy to oddział „Sępa" musiał się wycofywać w pośpiechu z okrążenia, nie zdążywszy nawet zabrać ze sobą zabitych i zwinąć resztek obozowiska — „Buchalter" zniknął. Myślano ,że poległ w walce. Lecz on zjawił się po kilku dniach wynędzniały i brudny, lecz rozpromieniony niepomiernie.

Zameldował się służbiście, a na zapytanie dowódcy, gdzie się podziewał, wyjął z dumą z kieszeni swój notes, w którym dokładnie w liczbach odnotowany był przebieg bitwy, podana liczba zabitych i rannych Niemców, zniszczony sprzęt nieprzyjaciela i straty własne.

Musiał mieć bowiem zaksięgowane dokładnie wszystko. Taki to już z niego był sumienny buchalter.

Kiedy zasiadał nad swoją książką, przenosił się myślą do biurowego pokoju. W zapach mokrych liści wplatała mu się duszna woń foliałów, bibuły i atramentu. W szumie wiatru zdawał się słyszeć delikatny skrzyp piór błądzących po suchym papierze.

Po tym przyszły wielkie czasy. Przez kraj przetoczyła się krwawą lawiną wielka ofensywa. Pan Rokucki brał udział w niejednej bitwie. Walczył pod Warszawą, poszedł pod Berlin. Kiedy przyszła wolność zniknął zupełnie z moich oczu.

Spotkałem go niedawno w Warszawie. Biegł drobnym truchcikiem ulicą w takim samym jak przed wojną gabardinowym palcie i nasuniętym na czoło kapeluszu. Zastąpiłem mu drogę i wpadł odrazu w moje otwarte ramiona. Jak dawniej przetarł najpierw zachodzące mgłą okulary, potem chwycił, jak kiedyś, za guzik i zaczął mi opowiadać o sobie bezładnie i haotycznie. Że jest teraz na Ziemiach Odzyskanych, pracuje w wielkim zakładzie przemysłowym, jest żonaty i...

Wyciągnął z kieszeni wielki notes starannie poliniowany i zapisany kolumnami drobnych kształtnych cyfr.

Wodząc po nich zasmarowanym paluchem zaczął tłumaczyć radośnie, że plan produkcji wynosił tyle a tyle, że wykonano go w takim, a takim procencie, że w przyszłym roku produkcja wzrośnie niepomiernie, że...

Zatrzymał się przez chwilę na jakiejś stronie i umilkł zażenowany, a to moje — dodał — osobiste życie, widząc zaś moje zainteresowanie, wyjaśnił niechętnie — widzisz tutaj tę czwórkę na „Winien"... to moje dzieci, na „Ma" jest jedynka, to znaczy że spodziewam się w tym roku jeszcze jednego syna.

Uśmiechnąłem się rozbawiony. — Pan Rokucki był zawsze i pozostał buchalterem, mimo partyzanckiej, żołnierskiej i pionierskiej przeszłości.

Buchalteria dla laika jest sucha i niezrozumiała. Mało kto wie, że „Winien" to znaczy ma, a „Ma" — winien. I pan Rokucki wiedział, jakie jest jego conto, wiedział co jest jeszcze winien swojej Joasi i „swoim" Ziemiom Odzyskanym.

Praga wolna

Zaczęło się dziać coś zagadkowego w tę pamiętną środę 13 września 1944 roku. Niemcy wzmogli natarcie na ulicę Książęcą, rzucając do akcji piechotę, broń pancerną i zasypując huraganowym ogniem artyleryjskim postrzępioną zieloność szpitala św. Łazarza.

Koło południa umęczoną stolicą targnęły dwie wielkie, następujące w krótkich odstępach czasu po sobie, detonacje. To wyleciały w powietrze mosty — Poniatowskiego i Średnicowy.

Po tamtej stronie Wisły widać było jakiś gorączkowy ruch. Po wałach nadbrzeżnych przelatywały w różnych kierunkach rozbrzęczane motocykle. Raz po raz buchały w powietrze fontanny pyłu od nadlatujących gdzieś ze wschodu pocisków. Na wodzie wykwitały wielkie fontanny. Woda zdawała się mieszać z dymem, który snuł się nisko przy samej powierzchni Wisły.

Na terenie szpitala św. Łazarza wrzała wzrastająca bitwa. W kilku miejscach gromady ludzkie zwierały się w śmiertelnym uścisku. Pogodne niebo pokrywały chmury pożarów. Niemcy szli tutaj naprzód cal po calu, tracąc dziesiątki ludzi, mordując setki nieustępliwych obrońców. Od czasu do czasu słychać było przeraźliwy świst pikujących „Stukasów", a zaraz potem ciężki łomot eksplodującej bomby. Niemcy nacierali również na Marymoncie, starali się opanować z jakimś niebywałym dotychczas wysiłkiem pojedyncze punkty obrony we wszystkich dzielnicach.

Włodek wiedział, że to nie jest dzień zwykły, takich jakich wiele było podczas Powstania, pełnych dymu i śmierci, jęku i męki ludzkiej. Chociaż miał zaledwie 13 lat, czuł jakiś dziwny bezsens tego wszystkiego co się działo teraz na świecie, lecz wiedział, że musi być tak nieodmiennie, że obłąkanie ludzkie osiągnęło już swój szczyt i, że musi się wreszcie to wszystko skończyć. Ale jak?

Chwilami zdawało mu się, że pod wpływem nieustających detonacji zawali się cały świat, zapadnie w ziemię tak, jak zapadały się kamienice na Nowym Świecie i Marszałkowskiej, że nie pozostanie na ziemi ani jedna żywa istota, tak, jak nie pozostało nic z jego matki, brata i siostry.

W ostatnich czasach żył jakby w gorączce. Przenosił meldunki i amunicję dla walczących oddziałów, sam jednak inaczej niż wszyscy jego rówieśnicy nie brał udziału w walce, nie chciał nawet wziąć do ręki żadnego z narzędzi mordu, jakimi były karabiny, pistolety i inna broń, która stanowiła dumę i radość wielu jego rówieśników. Teraz wiedział, a właściwie czuł, że dziś, jutro, musi się rozegrać coś bardzo zasadniczego, coś, co w każdym razie w jego życiu będzie zdarzeniem zwrotnym.

Wieczór zapadł tego dnia podobny do innych wieczorów, mało co ciemniejszy od spowitego w chmury dymu dnia. Tylko na niebie znać było wyraźniej łuny pożarów ogarniających całe miasto. Włodek zawieruszył się gdzieś wśród ruin na Powiślu. Nie wiedział po której stronie frontu się znajduje. Przypuszczał jednak, że wpadł między Niemców, którzy grasowali tutaj już od dłuższego czasu. Zagrzebał się w jakiejś dziurze, zziębnięty, głodny i zmęczony. Postanowił czekać do rana, żeby potem jakoś zorientować się w sytuacji. Wokoło nie było żywego ducha, tylko bokami osypywał się z cichym szmerem, gruz. Chłopak wdrapał się na I piętro jakiegoś wypalonego, nawpół zburzonego domu i zaszył w jakimś pokoju, w którym na ziemi leżały porozrzucane jakieś kołdry i strzępy pierzyn. Dziwnym trafem ocalało tutaj to wszystko. Przez ogromną dziurę w suficie widać było skrawek brązowego pokrytego dymem nieba. Włodek ułożył się pod tym otworem i obserwował przewalające się kłęby. Z daleka dochodził głuchy huk pożaru i pojedyńcze odgłosy detonacji.

W pewnej chwili w te wszystkie odgłosy wdarł się odległy, głuchy warkot motoru. Nadlatywały jakieś samoloty. Głos motorów był jednak jakiś inny niż zwykle. Chwilami rósł, potężniał, chwilami zaś milknął zupełnie.

W pewnej chwili Włodek spostrzegł na niebie wyraźnie wyłaniający się z czarnej chmury dymu nikły kształt dwupłatowego samolotu. Motoru teraz nie było słychać zupełnie. Maszyna szła lotem ślizgowym, jak szybowiec, zakreślając szeroki krąg. Potem od samolotu oderwał się jakiś nikły najpierw, a potem coraz wyraźniejszy kształt, nad którym wykwitł po chwili biały wachlarz spadochronu. Spadochron gnany lekkim podmuchem szybował w stronę śródmieścia. Potem ukazał się drugi, trzeci, dziesiąty. Zrzuty.

Chłopak podniecony poderwał się na nogi. Wiedział, że to samoloty sowieckie zrzucają broń walczącej Warszawie. I nagle na niebie wśród chmur zaczęły łyskać i błądzić nerwowo smugi niemieckich reflektorów. Gdzieś zupełnie blisko zaczęły pogadywać głęboko zenitówki, teraz w upiornym blasku reflektorów zaczęły wplątywać się coraz inne maszyny. „Kukuruźniki" szły na różnych wysokościach, spływały prawie nad same dachy domów.

Włodek porwał się z posłania i wypadł przed dom. Panowała tutaj niezmącona cisza, odcięta ostrym kontrastem od panującego wokoło chaosu. Z daleka wyodrębniał się w nim wyraźnie jakiś przeszywający skowyt ciężko rannego człowieka.

Chłopak wzdrygnął się. Spojrzawszy w górę spostrzegł teraz sowiecki samolot sunący bezgłośnie na nieznacznej wysokości w stronę Wisły. Jeszcze od samolotu oderwał się jakiś przedmiot i maszyna poderwana raptem w górę poczęła oddalać się coraz bardziej. Włodka opanowało teraz jakieś dziwne podniecenie. Zaczął biec pustym wąwozem ulicy w ślad za oddalającym się samolotem. Potem biegł już tylko za milknącym głosem motoru, a potem już tylko samym rozpędem pędził nieprzytomnie przed siebie. Nie widział, kiedy zatrzymał się nagle nad błyszczącą powierzchnią wody. Nikt go tu nie zatrzymywał, wokoło była tylko martwa pustka i cisza. Włodek spostrzegł leżący na brzegu wyrzucony przez wodę ogromny bal. Wiedziony jakimś dziwnym instynktem, nie zdając sobie właściwie sprawy z tego co robi, zepchnął drzewo na rzekę, położył się na nim i zaczął płynąć bezszelestnie, wiosłując rękami. Kiedy znalazł się w pewnej odległości od brzegu porwał go ostry prąd rzeki. Poddał się mu zmęczony, ciągle jakby w gorączce, nie wiedząc co się wokoło niego dzieje. Widział na brzegu ciemne sylwetki wartowników niemieckich, słyszał ich nawoływania.

Potem ktoś strzelił do niego raz i drugi. Potem wzdłuż całej rzeki rozszczekała się zaciekła strzelanina broni automatycznej. Po powierzchni wody zaczęły błądzić światła reflektorów. W pewnej chwili Włodek poczuł okrutny ból w ramieniu i stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, był jasny dzień. Leżał wyrzucony przez wodę, obok drzewnej kłody, na brzegu praskim. Po przeciwnej stronie, tak jak codzień, słychać było ostre pogadywania karabinów, pojedyncze wybuchy granatów i eksplozje lotniczych bomb. Całe miasto otulała gęsta chmura dymu. Włodek chciał się podnieść, lecz poczuł przeszywający ból w całym ciele. Jęknął głucho i zaczął pełznąć w górę po zboczu wiślanego wału. Chciał być teraz jak najdalej od wody, nie pomny na to, że zaraz za wałem mogą go pochwycić Niemcy i zamordować, jak dzikie zwierzę. Lecz wokoło było dziwnie pusto. Tylko, gdy znalazł się na samej górze wybiegł z jakiegoś stosu cegieł kot. Przyjrzał mu się uważnie i zniknął. Chłopak zmęczony nieludzko upadł twarzą do ziemi i leżał chwilę nieruchomy. Obudziły go jakieś głosy. Ostatnim wysiłkiem usiłował się poderwać z ziemi i otworzył oczy. Nad nim pochylał się młody żołnierz w szarym, niewidzianym dotychczas, mundurze, a obok niego drugi z polskim orzełkiem na czapce. Przyklęknął nad chłopcem i uniósł go lekko pod ramię.

— On ranny — odezwał się pierwszy.

Włodek spojrzał na niego nic nie rozumiejąc. Wiedział przecież, że na Pradze są Niemcy, a ten przecież nie był żołnierzem niemieckim. Tymczasem żołnierz wyjąwszy z kieszeni bandaż, zaczął mu obwiązywać skaleczone ramię, a widząc zdumienie chłopca szepnął czule — tak jak kiedyś matka Włodka:

— Nie bój się mały, my swoi. Praga już wolna.

A było to 14 września 1944 r., tj. w chwili, gdy oddziały polskie i Armia Czerwona wkraczały na ulice Pragi.

Janusz Słomczak

Z naszej perspektywy

Siedem nowel G. Morcinka

Pod tym tytułem ukazała się nowa książka Gustawa Morcinka, zawierająca siedem opowieści, których treść stanowią przeżycia w obozach koncentracyjnych. Trzeba od razu stwierdzić, że jest to książka wstrząsająca, niezapomniana. Z tych, co się czyta jednym tchem w zapamiętaniu, by nie uronić ani jednego słowa, ani jednego obrazu.

Realistyczny, pełen artyzmu opis stosunków obozowych, w słowach prostych, niewymyślnych, przejąć musi każdego człowieka grozą i przerażeniem. To życie na pograniczu śmierci, na którą każdy więzień był narażony codziennie, co godzinę ,co minutę, musiał wpłynąć na stan psychiczny każdego więźnia.

Na str. 183 w opowieści „Nardelli z Varennes", tak kreśli autor te nastroje:

Śmierć tę istotnie wyczuwałem koło siebie. Podobnie jak ja Nardelli wyczuwał. Jej istnienia czy obecności nie można było ująć w żadne słowa i w żadne zrozumienie. Wiedziało się tylko, że jest. I to wszędzie, naokoło. Może to była jakaś stężała emanacja śmierci tych setek tysięcy ludzi, którzy tutaj konali i w agonii ostatek słów i westchnień naszeptali w przestrzeń.

Któż to może wiedzieć?

Śmiercią było przesycone wszystko w obozie. Każda grudka ziemi, każdy najmizerniejszy ślad ludzki, każde źdźbło trawy, najdrobniejszy zakątek w baraku, w barłogach, w ustępie, nawet w tym ściegu podartego koca, czy w tym rzędzie szumiących topoli wzdłuż głównej ulicy, które nam przywodziły we wspomnieniu „Wyspę umarłych" Böcklina. Wszędzie się wyczuwało jej obecność...

*

Lecz co najważniejsze może, to głębokie przeświadczenie autora o niezmożonej potędze ducha ludzkiego, o człowieczeństwie, którego żadna przemoc pokonać nie zdoła. Mimo załamania wewnętrznego wielu jednostek (Zbyszek z „Dziewczyny z Champs Elysées"), postacie główne tych opowieści mówią nam o wielkości człowieka.

Takie są uczucia, jakich doznajemy czytając pierwsze sześć opowieści. Ostatnia pt. „Kot z Bivers" to epilog i to epilog znamienny. Jest to opowieść o miejscu wypoczynkowym Ker Jeannine we Francji, gdzie zgromadzono b. więźniów obozów koncentracyjnych dla nabrania nowych sił do życia. Obraz mordującej kota bestialsko, na zimno, Maryny jest groźnym memento i świadczy, że autor zdaje sobie sprawę z pewnych nieuchronnych zmian, które są wynikiem przeżyć obozowych. Nie wszystkie jednostki mogły oprzeć się zwycięsko skutkom życia na pograniczu śmierci. Niektóre z nich wróciły do życia normalnego z urazami których nic już wyleczyć nie zdoła.

fn.

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

Epitaphium

Pamięci Aleksandra Czyżewskiego

Przyjacielu z błękitnych, sennych lat — widziałeś,
drapieżna młodość przeciekła przez palce jak woda.
Oto zastygły w powietrzu mój krzyk na przepadłe
i płacz nieszczęśliwy: — szkoda!

Z surowizny bolesnej krwi i ziemi czarnej
narodził się Twój księżyc pogański i święty.
Dokąd wywiódł Cię — powiedz — ów letni d[illegible]
kiedy Cię tratowały zaziemskie tętenty?

Życie — od spazmów miłości do walki na pięści,
śmierć — świt czarny pot[illegible]cć w dymie i k[illegible]
Przyjacielu, świeć krzyżem świętej Twej pamięci
nad pragnącym rozwikłać ciemną, ludzką sprawę.

Życie organizacyjne PZBWP

Na Wieczorynce u Czeszek

W dużej umywalni jednego z nowych monstre-bloków, między basenami natryskowymi, ustawiły gospodynie taborety dla widzów. W drugim końcu łazienki stały grupy śpiewaczek i deklamatorek, wszystkie w pasiakach, w byle jakich chusteczkach na głowach. Na nogach grube drewniaki.

Chór zaczyna śpiewać; śpiewa przepięknie: wszak chórzystki to śpiewaczki z Pragi, Brna, wśród nich sławy swego narodu. Śpiewają śliczną pieśń o słońcu, wiośnie, pachnących kwieciem sadach i łąkach. Pani Nina, jedna z najsławniejszych tancerek Czechosłowacji, wysuwa się zza grupy śpiewających. Posągowo piękna, gibka jej postać, odziana w czarną, leciutką, długą szatkę — zdaje się w dessous jakiejś balowej toalety. Na włosy, gładziutko uczesane, zarzucony długi, czarny welon. Bose nogi wsunięte w ordynarne laczki pasiaste. Ruchami o przedziwnej harmonii maluje upojenie pięknem słońca, kwiatów, wiosny. Widzi się, czuje się tę wiosnę, te kwiaty, ku którym wyciąga prześliczne ramiona; promienie słońca, ku którym podnosi twarz, pełną poważnej błogości, muskają ciepłą pieszczotą głowy zapatrzonych kobiet. Artystka szuka najpiękniejszych kwiatów, znajduje coraz to jakiś pąk wiośniany; jej uśmiech leciuchny, a radosny rozchodzi się po wszystkich twarzach. Ach, jak dobrze jest żyć w słońcu, w wiośnie, wśród kwiatów...

Nie ma kwiatów, nie ma łąki, nie ma słońca... Pod stopami mokry cement posadzki, marna żarówka nad głową, a wilgotny chłód przenika kości... Ale to jest prawdą: prawdą jest to, co śpiewa chór i co ogląda Nina.

Króciutka przerwa — „zmiana dekoracji". Widzi się ją! Chór śpiewa radosną, rozhukaną piosenkę ludową, a Nina w czerwonej chusteczce na głowie wybucha rodzimą, buńczuczną wesołością zdrowej, młodej, bogatej wsi. Ruchy mocne, szybkie, zalotne, wabiące, a równocześnie dumnie odpychające. Widzi się, jak się garną do pięknej dziewoi hoży, dorodni chłopcy, a ona niby ich nie chce, a przecież pociąga, a bawi się tym, bawi tak świetnie, że choć ma usta zamknięte, słyszy się, jak w niej huczy, perli się, szumi śmiech zdobywczy, śmiech radości życia, śmiech triumfu urody!

A więźne — widzę, też się czują w tej chwili młode, piękne, radosne, porywające za sobą zachwycone oczy młodzieńcze. Bo to nieprawda, że są zwiędłe, zszarzałe, wynędzniałe. Prawdą jest to, że śpiewa chór i to tańczy Nina.

A potem znowu świat inny. Jedna z aktorek mówi wiersz o Kleopatrze. Mówi wolno, mocno rytm skandując, a Nina przekształca się w figurkę z egipskich sarkofagów, ruchy sztywne, hieratyczne, ręce i nogi zatracają giętkość i ustawiają się w kanciaste hieroglify, twarz martwa, zimna, nieprzystępna, wyniosła. Przesada majestatyczności, śmieszności czucia się wyższą nad wszystkich, komizm robienia z siebie bóstwa tak bajecznie jest tym tańcem odmalowany, że cała widownia wybucha serdecznym śmiechem, choć przecie artystka jest tak poważna, że aż... że aż śmiech porywa!

I tak obraz za obrazem, coraz to inny, coraz to inne nadłamanie duszy prostujący — a wszystko przy najuboższym ubóstwie środków, bez środków!

— Żebyż to te artystki usłyszały kiedyś na wolności, jak wdzięczne im jesteśmy za to, czym nas tak szczodrze obdarzały! — myślała Teresa.

Czy słyszycie, siostry Czeszki, słowa naszej wdzięczności?

Spółdzielczość i demokracja — pojęcia nierozdzielne

Obóz wypoczynkowy w Karpaczu

Sekcja Młodzieżowa PZBWP w Wałbrzychu własnym staraniem urządziła dwutygodniowy obóz wypoczynkowy dla swych członków w Karpaczu. Obóz ten pozostanie na długo w pamięci uczestników. Mieszkania w namiotach wśród gór i lasów. Do snu kołysał uczestników szmer górskiego strumyka, nad którym rozbili obóz. Kucharzyliśmy sami, a mimo to jedzenie smakowało wyśmienicie; że czasem było troszkę przesolone to wody w strumieniu nie brakowało. Żałowaliśmy tylko, że tak szybko się skończyło, jednak już tam postanowiliśmy, że zimowisko też musi być. Wypoczęci i z nowymi siłami stanęliśmy do pracy wzgl. nauki. Pieniądze na ten cel zdobyliśmy własnym pomysłem i radzimy innym oddziałom zorganizowania podobnych imprez, które dają uczestnikom wiele zadowolenia, miłych wspomnień, a co najważniejsze, następuje zżycie się członków Sekcji.

KONCERT PIEŚNI „OBOZOWYCH"

Z inicjatywy koła kulturalno - imprezowego Sekcji Młodzieżowej koła w Łodzi projektowane jest zorganizowanie w dniu 5 października br. koncertu pod nazwą „Pierwszy Ogólnopolski Koncert Pieśni i Wierszy „Obozowych". W programie przewidziane są utwory wyłącznie b. więźniów politycznych, skomponowane w obozie lub po wyzwoleniu, które wykonane powinny być przez kompozytorów, względnie autorów, a w wypadku gdy będzie to niemożliwe przez innych członków Związku.

Każdy Zarząd Okręgu proszony jest o nadesłanie trzech utworów wraz z nazwiskami twórców i wykonawców. Mogą to być pieśni i wiersze, wykonane przez osoby pojedyńcze, względnie przez chór, złożony z kilku osób. Każdy Zarząd Okręgu proszony jest o zawiadomienie wszystkich kół o organizowanym koncercie.

W sprawach organizacji koncertu informacji udziela Komitet Organizacji koncertu, do którego należy adresować następująco: Polski Związek byłych Więźniów Politycznych Koło Łódź. Komitet Organizacyjny Koncertu Łódź, ul. St. Jaracza Nr. 3.

Święto więźnia politycznego w Warszawie

Intensywną odbudową Kraju odpowiemy na absurdalne pomysły zwiększenia potencjału niemieckiego.

Pod protektoratem Prezesa Zarządu Głównego Polskiego Związku b. Więźniów Politycznych i Prezesa Rady Ministrów R. P. kol. Józefa Cyrankiewicza w dniach 5 do 11 października 1947 roku odbędzie się Tydzień Więźnia Politycznego.

W programie Tygodnia Więźnia Politycznego odbędą się następujące uroczystości i imprezy:

W niedzielę dnia 5 października o godz. 9.15 rano msza żałobna na gruzach Pawiaka, po czym uczestnicy udadzą się pochodem do Teatru Polskiego, w którym odbędzie się o godz. 11 uroczysta Akedemia.

W Tygodniu Więźnia odbędzie się szereg imprez dochodowych, między innymi we wtorek dnia 7 października w lokalu SARP o godz. 17 Wieczór Poetycki Bohdana Zalewskiego ze słowem wstępnym dyr. nacz. Polskiego Radia ob. Wilhelma Billiga.

W sobotę dnia 11 października o g. 18 w sali „Roma" Wielki Koncert z udziałem najwybitniejszych sił artystycznych w Polsce.

Poza tym w Tygodniu Więźnia Politycznego urządzana będzie kwesta uliczna i sprzedaż nalepek na rzecz wdów i sierot po zamordowanych w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

ODEZWA

W czasie wojny narzucił nam okupant przymusową zbiórkę wszelkich odpadków, zmuszając w ten sposób Polaków do zasilania niemieckiej machiny wojennej.

Obecnie naszym obowiązkiem narodowym jest przyczynić się do dźwignięcia przemysłu przez dostawę surowców odpadkowych. Nie wymaga to żadnej ofiary ze strony społeczeństwa, chodzi jedynie o to, by nie niszczyć szmat, odpadków włókienniczych, papierniczych (zwłaszcza książek hitlerowskich), kości itp. Zbiórka odpadków leży w interesie osobistym każdego obywatela, ponieważ dopływ surowca do fabryk spowoduje OBNIŻKĘ CEN PRODUKTÓW PRZEMYSŁOWYCH, JAK MATERIAŁÓW ODZIEŻOWYCH, ZESZYTÓW I KSIĄŻEK SZKOLNYCH, MYDŁA, PASTY DO OBUWIA ITP.

Niechaj więc nikt nie niszczy odpadków!

Odpadki należy wydać ob. ob. dozorcom domowym, którzy zatrzymają je do dyspozycji zbiornic. Zbiornice będą objeżdżały teren w regularnych odstępach czasu, zabiorą odpadki i skierują je do miejsca przeznaczenia.

Mieszkańcy mniejszych miejscowości i wsi wydadzą odpadki organizacjom, zajmującym się na miejscu odnośną akcją.

MINISTERSTWO PRZEMYSŁU
CENTRALA ODPADKÓW

Tydzień Majdanka

W czasie od dnia 20 do 28 września br. odbędą się w Lublinie doroczne uroczystości pod nazwą „Tydzień Majdanka". Uroczystości te rozpoczną się 20 b. m. o godz. 20-ej zapaleniem znicza na Placu Litewskim, apelem pomordowanych, oraz wyświetleniem filmów dokumentarnych „Majdanek" i „Oświęcim". W dniu tym w kościołach wszystkich wyznań odprawione zostaną nabożeństwa żałobne.

W niedzielę, 21 września o godz. 11,15 na terenie Majdanka, po powitaniu przedstawicieli Rządu R. P. i Korpusu Dyplomatycznego, odprawione zostanie nabożeństwo, celebrowane przez ks. biskupa Golińskiego. Uroczystość zakoczona zostanie położeniem kamienia węgielnego pod architekturę grobowca - pomnika, wmurowaniem aktu usypania kopca z prochów pomordowanych, poświęceniem kopca oraz zwiedzeniem obozu.

W obchodzie wezmą m. in. udział: Minister Sprawiedliwości Henryk Świątkowski, oraz Minister Kultury i Sztuki — Stefan Dybowski.

Dnia 22 września o godz. 11-ej odbędzie się na terenie obozu zebranie b. więźniów Majdanka.

„Tydzień Majdanka" zakończy się dnia 28 września o godz. 12-ej uroczystą akademią w Teatrze Miejskim w Lublinie.

W czasie trwania „Tygodnia" w sali kinowej Muzeum, położonej na terenie obozu, wyświetlane będą codziennie filmy dokumentarne: „Majdanek" i „Oświęcim".

Zakończenie kolonii letnich w Poraju

Rozpoczął się rok szkolny. Zakończyła się akcja kolonijna. Dziś możemy już zdać sobie sprawę z osiągnięć na tym polu.

Poszczególne Okręgi i Koła naszego Związku różnie rozwiązały sprawę, która często wymagała dużego nakładu pracy, energii i pomysłowości w zdobywaniu środków finansowych. Jedne lepiej, inne gorzej.

Jesteśmy w terenie. Tym razem na odcinku Koła Częstochowa — Poraj.

Właśnie odbywa się zamknięcie kolonii dziecięcych. Dzieci biorące udział w koloniach to przeważnie sieroty i półsieroty (92 proc.), z najbiedniejszych rodzin robotniczych i pracującej inteligencji.

Dzieci dzisiaj są bardzo zaaferowane, bowiem przygotowują imprezę artystyczną. W tym czasie możemy zajrzeć do miłych i czystych, choć trochę ciasnych sypialni, do jadalni, a wreszcie do kuchni, gdzie króluje kol. Kiełbik, oświęcimiak, b. kapitan rezerwy. Nauczył się gotować, jak twierdzi, w Oświęcimiu, lecz zdrowy wygląd dzieci świadczy, że menu zmienił zupełnie, co zresztą sprawdziliśmy sami poczęstowani smacznym obiadem i podwieczorkiem. Dzieci apetyty mają doskonałe, przybyło prawie wszystkim na wadze. Na co wpływa zapewne kąpiel w Warcie i częste spacery do lip sadzonych ręką Batorego, gdyż często król Polski wizytował zamek w Olsztynie.

Opiekę dzieci mają staranną. Kierownictwo kolonii spoczywa w energicznych rękach kol. Felisiaka. Gospodarstwem zajmuje się sympatyczna kol. Majewska.

Zaimponowała mi energia Zarządu Koła w zdobywaniu pieniędzy na tę kolonię. Z inspektoratu, z Zarządu Miejskiego, z Okręgu, ze sklepów C. H. D. nawet z Jedności i z prywatnej kieszeni prezesa Koła zebrano około 700 tys. zł.

Rozpoczęło się przedstawienia, nadzwyczaj starannie przygotowane, pomysłowe i dowcipne.

Na program złożyły się tańce solowe wybitnie zdolnej Basi Sitkowskiej i malutkiej Elżuni Wolskiej. Tańce zbiorowe z Kobylańską Kamilką i Ujmą Zosią na czele. Skecze z najlepszym wykonawcą Jędrzejczykiem Wieśkiem. Miłą i udaną Chinką była Ela Wawrzak. No i wreszcie Leszczyński Wiesiek, mały, zdolny harmonista.

W czasie przedstawienia porobić można było pewne spostrzeżenia. Otóż dzieci były nadzwyczaj naturalne i nieskrępowane, a równocześnie grzeczne i miłe. Widać z tego, że udało się kierownictwu poprowadzić wczasy dzieci w atmosferze troskliwości i serdeczności po prostu rodzinnej. Twarze organizatorów przejętych i serdecznie wzruszonych udaną grą dzieci potwierdzały to w całej rozciągłości. Opowiadały też o tych częstych odwiedzinach i całych górach cukierków przywożonych [illegible] kwiatami, za które im bardzo serdecznie dziękuje.

Uroczystość zakończyło podziękowanie rodziców.

W konkluzji stwierdzić musimy niezwykle ofiarną pracę całego Zarządu kolonii oraz Zarządu Koła Częstochowa w [illegible] zadania.

W przyszłych artykułach zobaczymy, co się dzieje na innych koloniach.

Halina Lesiewska

Dlaczego Ameryka chce odbudować Niemcy?

Stany Zjednoczone są nowym partnerem na arenie polityki europejskiej. Izolacjonistyczna doktryna Monroego do dnia dzisiejszego znajduje wielu gorących zwolenników. Ten brak doświadczenia w skomplikowanych sprawach Europy może poważnie, a nawet groźnie zaważyć na rozwoju sytuacji międzynarodowej. Przykładem takiej niebezpiecznej dla Europy polityki jest m. in. dążenie USA do „uporządkowania" spraw europejskich i odbudowy zniszczonych krajów europejskich, rozpoczynając od — odbudowy przemysłu niemieckiego. Niewielu polityków amerykańskich skłonnych jest uwierzyć, że „pokojowa" produkcja niemiecka, może grozić nową ofensywą militarną. To zadziwiające dla Europejczyka stanowisko Stanów Zjednoczonych tłumaczyć należy w pierwszym rzędzie naciskiem na departament Stanu kierowników życia gospodarczego USA, którzy — jak to wynika z przedstawionych poniżej danych — licznymi węzłami związani byli z przemysłem niemieckim. Te powiązania są nadal aktualne, wojna rozluźniła je tylko na pewien okres czasu. Pęczniejące w skarbcach dolary, rozsadzające ściany magazynów zapasy towarów czekają na chwilę, aby wartkim strumieniem popłynąć ubitym szlakiem do Niemiec....

Niedawno, zdymisjonowany kierownik Wydziału Denazifikacji przy Amerykańskim Zarządzie Wojskowym w Niemczech, Martin oświadczył na konferencji prasowej w N. Jorku, że amerykańskie koła popierają te grupy, które są zainteresowane w utrzymaniu kapitału monopolistycznego Niemiec i wymienił zresztą b. oględnie Standard Oil, General Motors, Telegraphe and Telephone nie określając na czym polegają owe „specjalne interesy".

Już z końcem 1918 roku finansiści kilku krajów a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, rozpoczęli robić duże inwestycje w Niemczech. Szczególną uwagę poświęcili utrzymaniu i rozbudowaniu niemieckich trustów i koncernów. Wspólnota interesów amerykańskiego i niemieckiego kapitału monopolistycznego rozwijała się w szybkim tempie.

W 1926 r. I. G. Farben, jedna z pierwszych podpisała umowę z amerykańskim koncernem Duponta. Stosownie do tego układu podzielono cały rynek międzynarodowy prochu strzelniczego. W 1929 roku utworzona została filia I. G. Farben, która jednoczyła wszystkie przedsiębiorstwa tego koncernu w Ameryce. Formalnie amerykańska filia nie należy do trustu niemieckiego I. G. Farben, lecz do utworzonej w r. 1929 w Bazylei I. G. Chemji.

Ten parawan niemieckiego trustu był zbyt przeroczysty, aby nie można było dojrzeć za nim istotnych posiadaczy. Przewodniczący niemieckiego I. G. Farben, Dr Herman Schmitz, który dziś stanął przed Trybunałem Norymberskim, był jednocześnie przewodniczącym Rady Nadzorczej firmy bazylejskiej.

Poza I. G. Farben istniały w Niemczech setki większych i mniejszych towarzystw, które pozostawały w kontakcie z amerykańskim kapitałem i korzystały z jego poparcia. W roku 1927 wspomniane przez Martina towarzystwo „General Electric" zawarło umowę z Kruppem. Na podstawie tej umowy amerykański i niemiecki koncern dzierżył w swoim czasie światowy monopol wolframu i karbidu.

Po objęciu władzy przez Hitlera wzajemne stosunki amerykańsko-niemieckie zacieśniły się i ok. 600 amerykańskich firm na terenie Rzeszy, rozwinęło produkcję do maximum.

Jak to już ustaliła komisja badawcza senatu amerykańskiego „Standard Oil" i I. G. Farben" zawarły porozumienie, mocą którego te dwa trusty zagwarantowały sobie monopol światowy na syntetyczną gazolinę, naftę i produkty chemiczne.

„Standard Oil" utrzymywał bliskie stosunki nawet po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Amerykę. Komisja badawcza Senatu podała do wiadomości Prokuratora Generalnego treść prowadzonych przez dyrektora „Standard Oil" z przedstawicielami niemieckiego trustu I. G. Farbenindustrie.

Charakterstyczną jest okoliczność, że „Standard Oil" zapewniał, iż po wojnie będzie również utrzymywał stosunki z Niemcami, niezależnie od tego jaki będzie jej rezultat.

W roku 1941, gdy USA prowadziły już wojnę z Rzeszą, trust Duponta i I. G. Farben ustaliły, iż wymiana informacji technicznych będzie przerwana tylko w najtrudniejszym okresie czasu, wszystkie inne zobowiązania natomiast pozostają w mocy i będą obowiązywać także w przyszłości. Wojnę więc uważano jedynie za przejściową przeszkodę.

Tow. General Motors, które zarabia więcej, niż jakiekolwiek przedsiębiorstwo przetwórcze w świecie, zawdzięcza w dużym stopniu swe stanowisko szczęśliwym operacjom zagranicznym. W r. 1938 np. dochód General Motors z krajów zamorskich był o 335 milionów dolarów większy niż całkowity dochód trustu chemicznego Dupont.

Przed wojną General Motors posiadało 7 kompletnych zakładów wytwórczych w krajach zagranicznych. 16 fabryk montujących samochody w tak odległych krajach, Jak Jawa, Płd. Afryka, Egipt, Nowa Gwinea i Japonia. Ponadto General Motors posiadało, pokrywającą cały świat sieć domów towarowych, filii i 2.000 sklepów detalicznych sprzedaży samochodów, których zyski przekazywane były do Nowego Jorku.

Założycielem oddziału zamorskiego General Motors jest J. D. Mooney, który oddawna już uznał, że posiadanie fabryk za granicą pociąga za sobą oszczędności w wydatkach na robociznę i transport. W przedwojennej W. Brytanii, np. General Motors płaciło robotnikom obowiązującą w tym kraju stawkę, która była o 50 proc. niższa, niż w Ameryce.

Na terenie Wall Street Mooney zdobył uznanie za zdolności, wykazywane w handlu zagranicznym. W r. 1935 odwiedził on Hitlera i powitał go hitlerowskim pozdrowieniem. Jak stwierdził „Saturday Evening Post" (30 X.37 r.) „Gest Mooney'a polegający na użyciu hitlerowskiego pozdrowienia, dowodzi jego zdolności dostosowania się do atmosfery i poglądów ludności, z którą ma do czynienia."

Podczas wojny General Motors posiadało ogromne inwestycje po obu walczących stronach. W roku 1929 koncern amerykański nabył angielską fabrykę Vauxhall. W roku 1930 pochłonął największą fabrykę niemiecką Opel.

Mimo stałego rozszerzania eksportu samochodów, General Motors nie ograniczało się do tej jedynie roli. Drugim „artykułem", który rozpowszechniał z niemniejszą energią, była polityka antyrobotnicza. Przykład nastawienia koncernu wobec zagranicznego robotnika znajdujemy w sprawozdaniu, dotyczącym Meksyku, za okres 1935—40, kiedy to prezydent Cardenas zezwolił związkom zawodowym na podobny rozwój „jak to miało miejsce w Stanach Zjednoczonch za prezydentury Roosevelta".

Autor sprawozdania skarży się, że Cardenas stoi na stanowisku prorobotniczym i dodaje: „zamiast zarzucić po wyborach, jak to jest powszechnie przyjęte, prezydent Meksyku prowadzi nadal politykę obrony praw robotnika". W r. 1940 autor z uznaniem stwierdza, że Cardenas zmienił swe nastawienie, ponieważ kapitał zagraniczny nie napływał do kraju, w którym wzrósł tak dalece ruch robotniczy.

Chociaż produkcja aut była ograniczona podczas wojny, dział zamorski nadal ciągnął miliony z tytułu dostaw materiałów wojennych. Obecnie np. wydajność fabryki w Bombaju jest sześciokrotnie wyższa, niż była w r. 1939.

Obecnie General Motors przygotowało znacznie poszerzony projekt ekspansji zamorskiej, ale z jego realizacją, jak oświadczył rzecznik General Motors, koncern czeka na to, by sytuacja polityczna się ustabilizowała po linii doktryny Trumana i Marshalla.

Kiedy General Motors zakupiło fabrykę Opla w r. 1930, francuskie pismo „Causons" opatrzyło to posunięcie następującym komentarzem, który powtarzany był w prasie europejskiej:

„Zyski będą płynąć przez Atlantyk, aby zwiększać i tak kolosalną fortunę bogatej Ameryki. A po przemyśle samochodowym przyjdzie kolej na inne, które popadną pod wpływy USA, dopóki nie nadejdzie dzień że Stany Zjednoczone, będące już panem finansów światowych, zapanują również nad przemysłem i handlem świata. Gdy dzień ten nadejdzie, być może, że zachowamy jeszcze polityczną niezależność..." (p)

Ruch spółdzielczy czerpie swoją siłę z idei wyzwolenia człowieka.

ST. WOJCIECHOWSKI

Skrzydlata Polska

Warszawa — to niezłomne i nieśmiertelne miasto, które już niejednokrotnie dało dowód swego patriotyzmu i w ubiegłą niedzielę w dniu Święta Lotników spontanicznie, poprzez potężny udział na Lotnisku w Mokotowie manifestowało swą łączność, swe przywiązanie do skrzydlatych orłów polskich. Wszelkiego rodzaju ewolucje, bombardowania, desanty były przyjęte z entuzjazmem przez ludność Stolicy. Na terenie całej Polski w dniu tym odbyły się akademie, pokazy lotnicze i zbiórki publiczne przy czynnym współudziale całego społeczeństwa. Bo naród polski, który dobrze pamięta jeszcze koszmar minionej wojny, wie dobrze, że lotnictwo silne — to największa gwarancja wygranej wojny, to silna i niezależna Polska. I mimowoli w dniu tym zwracamy się myślami do tragicznych dla nas dni września 1939 roku. Mimo swej „silności, zwartości i gotowości" okazaliśmy się całkiem słabi i nieprzygotowani.

Lotnictwo nasze — ta nasza największa duma i nadzieja — już w pierwszych dniach praktycznie przestało istnieć, a tym samym wynik dopiero rozpoczętej wojny był już z góry przesądzony. I wszelkie heroiczne ataki, wszelkie walki prowadzone z całym samozaparciem i wielką pogardą śmierci były próżnym przelewaniem krwi — bo tu nic wyniku przesądzonego nie mogło zmienić.

Polska tę bitwę musiała przegrać, bo sama bezsilna nie chciała nawet wejść w sojusz z naszymi słowiańskimi przyjaciółmi aby wspólnymi siłami powalić bestię germańską bez oglądania się na reakcję Londynu czy Paryża. I historia zemściła się okropnie. Naród polski przeszedł straszliwą lekcję życiową. Dziś wiemy wszyscy, że braterski związek z krajami słowiańskimi, silna armia i potężne lotnictwo, którego Święto tak uroczyście obchodziła cała Polska, są najlepszą gwarancją naszych granic na Odrze, Nysie i Bałtyku, oraz tego, że na ziemiach naszych nigdy nie powtórzy się więcej koszmar Oświęcimia, Majdanka czy Treblinki.

Stewit.

SPORT

PIŁKA NOŻNA

Po spotkaniu z Czechosłowacją, zakończonym porażką Polski 3:6, piłkarze nasi udają się do Szwecji i Finlandii, by tam zmierzyć swe siły z jedenastkami narodowymi tych państw.

Rozgrywki eliminacyjne o wejście do Ligi zbliżają się ku końcowi. Już teraz na pewno wiadomo, że awansują do ekstraklasy Wisła, Polonia (Warszawa), AKS, Cracovia, Warta, Garbarnia, ŁKS, Ruch, Tarnovia i Legia. O pozostałe dwa wolne miejsca rozegra się walka pomiędzy Bytomską Polonią a KKS (Poznań) i między Rymerem a RKU.

LEKKOATLETYKA

W Gdańsku rozegrano mistrzostwa Polski w sztafetach męskich i żeńskich, w pięcioboju i chodzie na 50 km. Tytuły zdobyli: w sztafecie olimpijskiej 800×400×200×100 — HKS (Bydgoszcz); 4×400 — HKS (Bydgoszcz); 3× 1000 — Syrena (Warszawa). W sztafetach żeńskich: 100×100×200×500 — HKS (Wybrzeże); 200×100×80×60 — KKS (Poznań). W pięcioboju panów: Kuźmicki (DKS Łódź) — 3,024 pkt. W chodzie na 50 km zwyciężył Głuszcz (Syrena) uzyskując czas 5 godz. 45 min. 54,6 sek., co jest nowym rekordem Polski.

KOLARSTWO

Rozegrany w Karkonoszach wyścig kolarski o mistrzostwo górskie Polski przyniósł nowy sukces Napierale (RKS Sarmata — Warszawa). Zajął on pierwsze miejsce w 3 godz. 32,08 min. przed Wandorem (Legia, Kraków), Grymkiewiczem (ŁKS). Wrzesińskim (ZZK Warszawa) i Siemińskim (Warszawa). W czasie wyścigu uległ wypadkowi Gabrych, na szczęście jednak obrażenia nie okazały się zbyt groźne.

Igrzyska sportowe w Zabrzu

W dniach 21, 22 i 23 września br. odbędą się w Zabrzu woj. Śląsko-Dąbrowskim igrzyska sportowe Zw. Zawodowego Górników. Równocześnie przeprowadzone zostaną OGÓLNO - POLSKIE ZAWODY GIMNASTYCZNE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH w Zabrzu.

Zgłoszenia zawodników należy kierować do Wydziału Wychowania Fizycznego i Sportu Zw. Zaw. Górników, Sosnowiec, ul. Żytnia nr 10.

Jednolity polski ruch zawodowy przywiązuje [illegible] igrzysk.

Spółdzielczość jest nie tylko RUCHEM GOSPODARCZYM, ale również IDEOWYM. Zadaniem jego jest nie tylko zmiana struktury gospodarczej Państwa, ale także WYCHOWANIE LUDZI dla [illegible] ustroju.

Jan Żerkowski

GAMBETTA

(Wspomnienia uchodźcy z Rumunii)

Mimo wszelkich trudności, jakie przeżywaliśmy jako uchodźcy w pięknym kraju rumuńskim, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cały ten okres czasu był w porównaniu z życiem pod okupacją na terenie Polski, prawdziwym „El Dorado". Uchodźcy polscy w Rumunii dopiero po powrocie do kraju uświadomili sobie na prawdę warunki, w jakich żyli blisko sześć lat ich rodacy, jak i bezmiar nieszczęść i bohaterską walkę całego narodu ze znienawidzonym okupantem.

I wielu na pewno dopiero wtedy otworzyły się oczy, dotąd ślepe na wszystko, co nie dotykało ich bezpośrednio; bo mimo napływających różnymi drogami wiadomości i perswazji bardziej uświadomionych jednostek przeciętny uchodźca uważał się zwykle za wybitną ofiarę wojenną, a wszelkie trudności, niedogodności i przykrości dnia codziennego wyolbrzymiał do maksimum. Była to pewnego rodzaju psychoza, zakorzeniona silnie w masach uchodźczych, jako wyraz cierpienia tak chętnie manifestowanego w tych czasach przede wszystkim przez najmniej cierpiących i najmniej poszkodowanych w rzeczywistości.

Faktem niezaprzeczalnym jest, że życiu organizacyjnemu Polaków w Rumunii od samego początku nie stawiano najmniejszych przeszkód. Nawet gdy Niemcy objęli faktycznie władzę w Rumunii, Polacy dzięki stałej, wytrwałej i serdecznej pomocy swych przyjaciół-Rumunów nadal pozostali z małymi tylko wyjątkami beniaminkami władz i skutecznie omijali wszystkie Scylle i Charybdy.

Lecz to jest — jak to mówią — całkiem inna historia.

Ostatnie dwa lata spędziłem w przepięknym miasteczku R. V., położonym pod łukiem Karpat na południe od Transylwanii (Siedmiogrodu). Liczyło ono tylko około 15.000 mieszkańców, choć ze względu na kontrolę niemiecką, wydano tam w roku 1944 kartek żywnościowych aż 32.000. Uchodźców polskich mieszkało tam zaledwie około 30. Wszyscy znaleźli jakieś zajęcie, łącznie więc z otrzymywanymi zasiłkami żyli dobrze, wino spijali często, a czas mijał im spokojnie, tym bardziej, że najbliższe centrum uchodźcze — jak zwykle ognisko wszelkich zadrażnień i scen gwałtownych — znajdowało się dopiero o 9 km od miasteczka. Byliśmy tam niejako poza organizacją uchodźczą, mieszkając jednak w siedzibie prefektury (nasze starostwo), mieliśmy łatwość załatwiania wszelkich spraw u władz rumuńskich, co było plusem niezaprzeczonym.

Było nas tam tak mało, że całe miasteczko znało każdego z nas z osobna i ochrzciło raz na zawsze mianem niezbyt pochlebnym: „saraci Polonezi" (biedni Polacy), choć w rzeczywistości niektórzy z nas zarabiali masę pieniędzy i żyli sobie prawie luksusowo. Ponieważ już po okresie rocznym pobytu w Rumunii władałem biegle językiem miejscowym — nie przejmując się twardym stanowiskiem polskich pseudo-inteligentów, że nie warto się uczyć języka rumuńskiego, bo to nikomu w przyszłości nie będzie potrzebne — po trzech latach uchodźstwa tak opanowałem ten język, że wyspecjalizować się mogłem jako nauczyciel, a raczej korepetytor języka niemieckiego i łaciny. Dawało mi to zupełnie solidne utrzymanie, dobre mieszkanie, miłe stosunki towarzyskie i w ogóle znośne warunki bytu bez zbytniego przeciążenia pracą. Nic też dziwnego, że od czasu do czasu zjawiały się zachcianki odnowienia zewnętrznego wyglądu, naturalnie li tylko dla celów reprezentacji związanej z moim tymczasowym zawodem.

Wtedy to właśnie przyszedł mi do głowy pomysł uzupełnienia mej garderoby kupnem nowego kapelusza. Niestety, będąc uprzednio w Bukareszcie straciłem wyjątkową zupełnie okazję zaopatrzenia się w oryginalny kapelusz „Borsalino". Pokusy tego pięknego miasta, a w szczególności znakomite piwo „Bragadiru" z lodu — były zbyt pociągające i nie pozwoliły na lokowanie skromnej gotówki w tego rodzaju inwestycje. Prawdopodobnie z powodu umowy o wymianie towarowej między Włochami a Rumunią, „Borsalino" kosztował w słynnym domu towarowym „Galleries Lafayette" przy Calea Victoriei w tym czasie około 3000 lei, co było ceną w stosunku do wartości wprost śmieszną, gdy przypomnimy sobie, że u nas, w Warszawie, płaciliśmy zań przed wojną przeszło 80 zł. Skorzystał z tego tylko pewien mój przyjaciel i towarzysz z różnych tzw. obozów, warszawianin, bawiący przez krótki okres czasu w stolicy, a odznaczający się wybitnym nadmiarem gotówki. Za moją namową uznał zakup taki za dobrą lokatę i do dziś dnia przypomina mi moją lekkomyślność, paradując po warszawskich gruzach.

Przez dłuższy okres czasu chodziłem w wolnych chwilach po mieście, oglądałem wystawy sklepowe, lecz ceny wydawały mi się zbyt wygórowane. W rozmowach przyjacielskich z moimi gospodarzami wspomniałem także o moich zamiarach.

Pewnego dnia zjawiła się w mym pokoju gospodyni i cokolwiek zażenowana, zaproponowała mi kupno bardzo pięknego kapelusza „Gambetta"*) za cenę naprawdę okazyjną. Naturalnie w dłuższym wywodzie opowiedziała mi całą historię z detalami. Kapelusz ten zakupił mąż jej z okazji uroczystości ich ślubu. Przez blisko ćwierćwiecze kapelusz był przechowywany z pietyzmem w szafie, w pudełku, z całym szacunkiem godnym tak szacownej pamiątki. Obecnie z powodu ciężkich czasów decydują się z bólem serca na sprzedaż i to tylko ze względu na sympatię, jaką żywią dla mnie. Komu innemu nie sprzedaliby nigdy, nawet w najgorszej sytuacji finansowej. Byłoby to wprost świętokradztwem!

Potężnie znudzony męczącym wstępem do tej stosunkowo niewielkiej transakcji, gdyż okiem duszy widziałem już jakiś zapleśniały cylinder o przedpotopowym fasonie i by zakończyć wreszcie nieskończone tyrady mej gospodyni i własne moje wątpliwości, poprosiłem o pokazanie mi tego cennego antyka. O intrygującej i dumnej nazwie, która nie przypominała mi żadnego kształtu kapelusza.

Po paru minutach gospodyni wkroczyła z powrotem do pokoju z wysokim pudełkiem tekturowym w ręku. Po jeszcze dosyć długiej przemowie o specjalnym szczęściu, jakie mnie spotyka, ostrożnie uchyliła przykrywę pudełka. Ku memu bezgranicznemu zdziwieniu zobaczyłem we wnętrzu lśniący, twardy kapelusz (po warszawsku „dęciak"). Opanowało mnie lekkie rozrzewnienie. Był to przecież zawsze ulubiony mój kapelusz na słoty jesienne i zimowe śniegi, a fasonem nie różnił się zupełnie od typu u nas używanego. I teraz nagle, tu z dala od mego kraju proponują mi takie okazyjne kupno. Od razu byłem zdecydowany, lecz zmysł handlowy doradził mi pewną obojętność. Z obojętną miną — bez żadnego odpowiedniego do historycznej chwili ceremoniału, co ze zgorszeniem widocznym zauważyła moja gospodyni — wyjąłem kapelusz z pudełka, spróbowałem twartość denka przytknięciem (przyjętym również z wyrzutem w oczach) i spokojnie założyłem go na głowę. Wyglądałem w nim jak — prawdziwy lord. Mimo zachwytu widniejącego w oczach mej gospodyni zdjąłem obojętnie dęciak z mojej głowy. Odwróciłem go denkiem w dół i... wtedy nastąpiła decydująca, przełomowa chwila. Nie wierząc własnym oczom przeczytałem na białej, błyszczącej morze słowa: „Bond Street, London".

Oryginalny, angielski melonik ze słynnej na cały świat dla mody męskiej Bona Street w Londynie! Nie wierzyłem mojemu szczęściu. Te trzy słowa były dla mnie decydujące, bo pomyślce tylko... Rok 1943, Rumunia, radio londyńskie itp. skojarzenia myślowe nasunęły mi się w tej chwili. No, a przede wszystkim ten imponujący wygląd kapelusza mimo tak długiej i chwalebnej przeszłości.

Teraz wszystko potoczyło się szybko. Złożyłem zadatek, wyraziłem zgodę na cenę bez próby dalszych targów, oznaczyłem dzień zapłaty (po sprawdzeniu w notesie najbliższych wpływów z lekcji) i „dęciak" stał się moją własnością.

Następnego ranka, a był to dzień jesienny niezwykle piękny i pogodny, wyruszyłem z dumą na miasto. Z początku nie zauważyłem niczego. Wkrótce jednak spostrzegłem, że ludzie oglądają się za mną na ulicy. Byłem tym bardzo zaszczycony, bo myślałem, że wszystkim ten kapelusz podoba się tak, jak i mnie.

Po pewnym czasie dopiero dowiedziałem się przypadkowo, że ktoś mówiąc o mnie użył wyrażenia „domnul cu Gambetta" (pan z Gambettą). Zdziwiło mnie to bardzo, bo ogólnie tytułowano mnie trochę na wyrost „domnul profesor". Gdy zainterpelowałem jednego z mych przyjaciół Rumunów, ten wytłumaczył mi, że „Gambetta" (takie jest popularne miano „dęciaka" w Rumunii), specjalnie na prowincji, jest właściwie okryciem głowy ceremonialnym i, że nikt nie nosi go na co dzień. Stąd sensacja na ulicy i zmiana w określeniu mej osoby. Zlekceważyłem sobie to wyjaśnienie i chodziłem w „dęciaku" przez całą zimę.

W lutym zaproponował mi pewien uchodźca, bym pojechał z nim do Bukaresztu, gdzie miał pilną sprawę do załatwienia w Generalnej Prefekturze Policji, jako jego tłumacz i adwokat. Wyjazd bezpłatny na kilka dni do stolicy był zbyt atrakcyjny, bym mógł odmówić.

Po przybyciu do Bukaresztu wprost z dworca udaliśmy się do prefektury. Była dziesiąta. Z powodu wczesnej, jak na Bukareszt, pory nieliczni tylko interesanci przemykali się przez imponujący taras wejściowy. Z powodu bliżej mi nieznanych nie wszystkich jednak wpuszczano do wnętrza budynku. Widocznie wydano jakieś nowe ostrzejsze zarządzenia, o których my z prowincji nie mieliśmy żadnych wiadomości. Wartownik w galowym mundurze przechadzał się sennie tam i z powrotem.

Gdy zbliżyliśmy się powoli do wejścia, nagle — jakby prąd elektryczny wstrząsnął jego postacią. Sprężystym, paradnym krokiem skierował się w naszą stronę, stanął, sprezentował broń...

W pierwszej chwili skamieniałem. Przede mną, biednym uchodźcą nieszczęsnego kraju, prezentuje przy Niemcach broń ten wspaniały wartownik? Czy mnie oko nie pomyliło?

Ostrożnie zerknąłem wokoło. W promieniu dwudziestu kroków... nikogo.

Wziął mnie prawdopodobnie za jednego z dyplomatów. Zrozumiałem, że to nie dla mnie ten honor, tylko dla mojego „Gambetty".

Z godnością uchyliłem mego „dęciaka" i poważnym krokiem wstąpiłem w mroczne korytarze prefektury nie oglądając się poza siebie...

F. Nawrocki.

*) Gambetta Leon (1838—1882), francuski mąż stanu skrajnej lewicy republikańskiej. Prezydent parlamentu, minister, premier 1881 — 1882. Zdecydowany przeciwnik klerykalizmu. Autor 11 tomów „Discours et pladoyers politiques" (1880—85).

ZMARLI w OBOZACH

OŚWIĘCIM

455 Cupryś Stanisław — 24.II.1917, 479 Brudziana J — chłopak młody, 1813 Fałowski Kazimierz — 18.I.1901 — z Warszawy — otrzymał zastrzyk, 2211 Olszański Izydor — 4.IV.1894 — z Warszawy — otrzymał zastrzyk, 2356 Niewiadomski J. — 22.VII.1907 — otrzymał zastrzyk, 2362 Płachecki Kazimierz — 4.V.1919 — otrzymał zastrzyk, 2946 Dulczykiewicz W. — młody, jak wyżej, 3099 Suski Karol — 1.VII.1907 — otrzymał zastrzyk, 4362 Różycki Marian — śmierć nagła, 4619 Perezyński Stanisław — 23.III.1898 — z W-wy, zastrzyk, 4811 Lewkowicz Edward — 13.1.1916 — zastrzyk, 6959 Woźniak Bolesław — 2.II.1917, 639 Malik Władysław — 22.VI.1918 — śmierć nagła, 5265 Szpotański Jerzy — 20.X.1910 — zastrzyk, 3187 Kłosek Wilhelm — 8.I.1896 — zmarł od pobicia — ślązak, Czyż Leon lat ok. 42 — pochodził ze Śląska Ciesz. zmarł na placu apelowym.

DACHAU

1045/Ośw. Nr 26129/D Szczepaniak Antoni — 10.VI.1889, 1200 Miazga Leon — 17.II.1910, 3402 Szteiner Kurt — Polak z Pomorza, 4109 Jackólski L. 11.IV.1903, 4272 Kowalewski Julian — 3.X.1903, 8274 Zadrożny Stanisław — 13.IV.1917, 13108 Zapolski Zygmunt — 29.II.1915, 14943 Jakubowicz Jan — 24.VI.1917 z Drohiczyna, s. obr. sąd., 3026 Cichocki Stanisław — 16.IX.1920, Przyłuski Władysław lat ok. 45 — redaktor z Warszawy, Wiater Stanisław lat ok. 42 aresztowany w Sosnowcu w 1940 r. za działalność konspiracyjną Nr 7484/Ośw., Bartosz Stanisław, lat ok. 46 tak samo jak Wiater, pozostał w Oświęcimiu.

ZMARLI W OBOZIE GROSS-ROSEN

Uwaga: lista dotyczy mężczyzn, którzy przebywali w szpitalu wym. obozu w latach 1944 — 1945.

42450 Abramowicz Jan, 31705/21 Adamiec Józef, 7691/35 Adamczyk Jan, 65424 Adamczyk Marceli, 1630/22 Adamik Roman, 65134/8 Adamski Władysław, 20651/2 Adamus Jan, 35929/18 Afek Wojciech, 68759/22 Ajnenkiel Remigiusz, 9122/6 Aleksandrowicz Józef, 1683/15 Alkiewicz Andrzej, 46810/8 Anczak Stefan, 80868/3 Artmeński X., 58785/6 Astaszkiewicz Stefan, 40461/21 Androszewicz Edward, 2354/2 Andruszkiewicz Jan, 6185/4 Andrzejczak Wojciech, 27414/15 Andrzejewski Stanisław, 87571/3 Andrzejewski Stanisław, 87572/22a Andrzejewski Florian, 2123/18 Andrzejewski Leon, 65820/22a Angezin Juliusz, 16944/5 Aniechinko Władysław, 30434/7 Antoniak Jan, 15481/3 Aramowicz Stanisław, 29847/3 Arend Andrzej, 80871/7 Arwaj Piotr, 58862/18 Artmeński X., 68785/6 Astaszkiewicz Czesław, 40409/16 Babiński Julian, 40421 Babiński Kazimierz, 40422/16 Babiński Tomasz, 35912/8 Babolski Stanisław, 63643/6 Bachera Stefan, 40483/16 Baczewski Franciszek, 40438/21 Baczewski Stanisław, 87922/4 Badura Ferdynand, 88188/22a Badziak Józef, 46898/8 Bagiński Piotr, 1327/22 Bajek Stanisław, 03567/22 Bajor Bolesław, 4052/8 Bajszko Bronisław, 30567/18 Bakalarz Stanisław, 40406/21 Bakurski Józef, 2972/21 Bałądz Włodzimierz, 18485/15 Balusz Stanisław, 29858/5 Banaszak Stanisław, 4052 Banko, 36195/9 Baranowski Edward, 30439/7 Barański Kazimierz, 26410/5 Bardnowski Wincenty, 63659/10 Barnaszek Stanisław, 2606/3 Bartczak Jan, 1068/8 Bartyński Aleksander, 29850/7 Bartkiewicz Konstanty, 2102/15 Bartkowiak Antoni, 27418/15 Bartoszek, 85766/4 Bartoszak Józef, 12047 Bartoszyński Andrzej, 3818/7 Barwiejuk Jan, 17655 Batanowski Antoni, 84529/8 Batowski Wacław, 2960/18 Baum Edmund, 6774/16 Bazar Franciszek, 36499/18 Bąk vel Bonk Jan, 65859/8 Besuscheil Marceli, 90145/10 Belnicki Andrzej, 04193/3 Bentożycz Brontar?, 90698/9 Bernol Gabriel, 30527/2 Bestina Andrzej, 16509/10 Białej Konstanty, 30942/8 Białas Jan, 30529/1 Białas Kazimierz, 117/7 Białek Bolesław, 29846/8 Bidok Kazimierz, 8769/18 Biedra Jan, 81007/17 Biejat Edward, 36135/8 Bidak Edward, 12572/16 Bieńkowski Bogdan, 3958/8 Bilida Sylwester, 89122 Biliński Aleksander, 16381/8 Bilip Bolesław, 2468/8 Bilok Stefan, 742/21 Biloki Jan, 18573/Tr. R. Biniek Adolf, 12442/35 Bińkowski Julian, 75618 Birnow Roger, 5422/8 Blechowski Edward, 5148/8 Blekicki Eugeniusz, 3407/19 Bleński Zygmunt, 81242 — Bloch Franciszek, 8799/16 Blum Franciszek, 87412/16 Bobko Jan, 32828/2 Bobrek Czesław, 16336/18 Bochenek Antoni, 8666 Bochenek Józef, 8923/6 Boczarski Józef, 36201 Bodolski Tadeusz, 46830/15 Bogdański Antoni, 01636/22 Bogolewicz Benedykt, 8778/16 Bogucki Latosław, 03581/22 Bogumił Stefan, 159773/2 Bojarczuk Aleksander, 18784/7 Bok Kazimierz, 20844/2 Bojko Mikołaj, 40226 Bołożyński Eufijem, 20739/3 Bonarski Marian, 87992/6 Bonisławski Aleksander, 36499/18 Bonk vel Bąk Jan, 5907/4 Bonuszak Jan, 40424/7 Bonuszewicz Stanisław, 30059/20 Borak Rudolf, 40018/2 Borek Feliks, 11601/35 Borko Paweł, 9058/17 Borkowski Tadeusz, 12412 Borowski Bolesław, 15085/19 Borówka Jan, 46528/9 Borzestowski Edwin, 65391/16 Borzędowski Zbigniew, 93972/18 Bowekowski Jan, 85649/5 Bożelewski Marian, 27392/5 Bożenik Michał, 85665/18 Brandenburg Bronisław, 16182/19 Brunk Stanisław, 34888 Brocki Tadeusz, 34934/9 Broczniak Franciszek, 27643/2 Brodziak Stefan, 1712/10 Broniasz Stanisław, 16497/10 Bronowicz Stanisław, 30025/4 Broździak Jan, 4549/18 Brulinowski Ignacy, 12090 Brweżyński Jerzy, 6281/6 Brwich Feliks, 04032/7 Bryski Kazimierz, 1469 Bryszewski Włodzimierz, 7645 Brzostowski Józef, 23275/2 Bucki Jan, 27647/4 Buczkowski Jan, 18702 Buczulak Jan, 18702/20 Buczurek Jan, 63157 Budia Franciszek, 2468/19 Bulach Stefan, 30223/2 Burbul Bronisław, 63906/6 Bundel Jan, 3787/8 Burko Aleksander, 2132/18 Burkut Kajetan, 15167 Bury Józef, 111 Burzyński Bolesław, 63705/6 Burzyński Jerzy, 32832/10 Burzuj Andrzej, 30074/21 Buzon Stanisław, 12/10 Byk Józef, 88857/18 Bykowski Władysław, 40511/16 Bystrowski Franciszek,

Poszukiwania

Ktoby wiedział o losie **Danusi Prośniewskiej**, aresztowanej przez gestapo w dniu 19.I.44, zechce łaskawie podać wiadomość matce Anieli Prośniewskiej, Bytom, Wrocławska 1, lub Otwock — Foto Trembicki, Warszawska 29.

Ktokolwiek z b. więźniów politycznych spotkał się w obozie koncentracyjnym ze ś.p. mężem moim **Wacławem Prenierem**, przewiezionym tam w lutym 1945 r. z Sachsenhausen — zechce łaskawie udzielić mi bliższych szczegółów o nim, o jego śmierci w Buchenwaldzie 6 marca 1945 r. Zwracam się z gorącą prośbą o skomunikowanie się ze mną: Warszawa-Praga, ul. Targowa 67 Inspektorat Pracy II Okręgu — żona dr Kunicka-Prenier.

Kizlera Włodzimierza ur. 28.II.1915 roku w Warszawie, syna Włodzimierza i Julii z Apanasików poszukują rodzice i żona, zamieszkali w Warszawie, ul. Wawelska, fińskie domki VI/1. — Przebywał on w obozie koncentracyjnym Buchenwald pod Nr 71812. Pracował w kopalni soli w miejscowości Leau.

Werpechowski Józef, ur. 5.II.1898 r. w Surażu, pow. Białostocki. Wywieziony z domu w m. Łapy, pow. Wysoko-Mazowiecki w maju 1944 r. Zmarł w Zwieberge koło Buchenwaldu. Zabrany był przez Niemców jako więzień polityczny w masowym aresztowaniu w maju 1944 r. Ktoby wiedział dokładnie o śmierci wym., zechce łaskawie powiadomić żonę Werpechowską Helenę, Brzeg n/O. ul. Wrocławska Nr 15 (Dolny Śląsk).

Majewski Tadeusz, ur. 29.7.1904, przebywał w Oranienburg „D" K. L. Sachsenhausen „Arbeitslager Folkensee" Nr. 91446. Ostatnia wiadomość 12.I.45 r.

Ktokolwiek wiedziałby o losie poszukiwanego proszony o kierowanie wiadomości pod adresem: Warszawa, Zygmuntowska 14 m. 7 Amelia Reidel.

Szymczak Piotr przebywał w obozach Majdanek, Buchenwald, Dora, Erlich i Harcungen prosi kolegów swych Józefa Malejkę, Józefa Lachowicza, Józefa Bortnika i Mieczysława Natońskiego (wszyscy zamieszkiwali poprzednio w Telsztynie pow. Sambor woj. lwowskie) o podanie swoich adresów. Listy proszę kierować — Szymczak Piotr. Białykamień, ul. Traugutta 9 m. 12, pow. Wałbrzych.

Wiśniewski Czesław, ur. 30.V.1922 w Warszawie, wywieziony z Powstania do obozu Mauthausen. Ktokolwiek wiedziałby o losie zaginionego proszony o zawiadomienie ojca — Karola Wiśniewskiego — Radom, ul. Niedziałkowskiego 12 m. 12.

Wardak Bronisław, ur. 1911 r. w Radzyminie, wywieziony z Pawiaka w marcu 1943 r. do obozu w Gross-Rosen, skąd został wysłany do obozu w Furfteichen, nr. więźnia 26134 Blok G.

O wiadomości prosi żona Wardak Halina Otwock, ul. Androlego 15.

Buchenwaldczycy mający jakiekolwiek, nawet najdrobniejsze wiadomości o Leszku (lat 17) i Władysławie (lat 54) **Przyłuskich**, wywiezionych do Buchenwaldu po Powstaniu, przebywających ostatnio na bloku 17 — proszeni są o skomunikowanie. Prasa Gospodarcza Wilcza 69.

Lipowskiego Czesława, urodzonego w r. 1911 w Grajewie, który przebywał w obozie konc. w Oranienburgu poszukuje żona M. Lipowska.

Marszak Jan, ur. w r. 1902 w Parczewie, z zawodu urzędnik pocztowy, aresztowany 16.6.1941 r. przy ul. Freta 21 m. 5 i wywieziony do Oświęcimia (nr. 20387), umarł rzekomo w obozie tym dnia 1411.41. Świadkowie śmierci proszeni są o skomunikowanie się z wdową Stefanią Marczakową — Wrocław, ul. Sępa Szarzyńskiego 75 m. 6.

Rymkiewicza Andrzeja Majora (numer z obozu Oświęcimia) 121609, aresztowanego 11 marca 1943 r. i wywiezionego kolejno do obozów: Oświęcim, Neckareltz — Baden i Dachau, poszukuje żona. Kto wie o jego losie — adresie, proszony jest o łaskawe udzielenie informacji na adres: Warszawa — Grochów, ul. St. Augusta 12 m. 14, Stanisława Rymkiewicz.

Jak mordowano Polaków
w Grupie

Dziwne rzeczy działy się na Pomorzu w pierwszych dniach września 1939 r. Zbiry hitlerowskie postanowili wykończyć wszystko, co polskie. Polskość była na indeksie. Kto Polak — ten wróg. I dla niego tylko śmierć.

Niemniej jednak zawsze byli odważni, którzy mimo widma śmierci umieli ominąć gęsty kordon gestapowców i ukryć się wśród swoich bliskich. Oni właśnie są dzisiaj najlepszymi świadkami, co się w owych pamiętnych dniach wrześniowych roku 1939 na Pomorzu działo.

W pierwszych miesiącach okupacji na rozkaz gauleitera Foerstera oddziały Selbstschutzu oraz S. S. aresztowały dziesiątki tysięcy najlepszych Polaków ze Świecia, Nowego, Grudziądza, Chełmna, Tucholi i innych miejscowości, zwożąc ofiary swe do olbrzymiej żwirowni, położonej w lasach między Górną Grupą i Mniszkiem, aby tam dokonać zemsty najstraszliwszej w dziejach ludzkości, mordując tysiące Polaków.

Mordowano w najrozmaitszy sposób. Rozstrzeliwano z karabinów maszynowych, z pistoletów i t. p. Przed rozstrzeliwaniem rozbierano ofiary do naga, rzeczy ich paląc, czego dowodem ogromne spaleniska, w których znaleziono różne niedopalone przedmioty.

Ciała zamordowanych zasypane zostały cienką warstwą żwiru, tak że na przestrzeni około 200 metrów widniały wystające szczątki ciał, rąk i nóg pomordowanych.

Stan ten utrzymał się do roku 1944. W roku tym, kiedy sytuacja na frontach zaczęła przybierać niepomyślny obrót dla armii niemieckiej, ażeby zatrzeć ślady swego bestialstwa, oddział S. S. sprowadził na miejsce zamordowania Polaków w Grupie kilkudziesieciu więźniów z obozu koncentracyjnego w Stutthofie i ci przez przeciąg około 5 tygodni odkopywali ciała pomordowanych i palili je na ogromnych stosach zostawiając tylko popiół zmieszany ze żwirem. Po zakończeniu tej „roboty", więźniowie zostali na miejscu rozstrzelani.

Mimo tak wielkiej ostrożności i przezorności straszna prawda wyszła na jaw.

Dziś Polski Związek b. Więźniów Politycznych Koło Świecie postanowił przez manifestacyjne wystąpienie całego społeczeństwa Pomorza uczcić pamięć tych męczenników.

Z uporządkowaniem grobu o długości 150 metrów związane są olbrzymie wydatki, które niewątpliwie pokryje społeczeństwo Pomorza.

Koło Świecie PZBWP ma konto swoje w KKO powiatu świeckiego nr. 225, na które prosi wpłacać składki na powyższy cel.

Drukarnia: „R[illegible]" Nr 1. Al. Jerozolimskie Nr. 12[illegible]
„Wiedza".
B — 37963